

JERZY STRZEMIĘ-JANOWSKI

KARMAZYNY I ŻULIKI

BIBLIOTEKA PRENUMERATORÓW
„KURJERA PORANNEGO“

KARMAZYNY I ŻULIKI

JERZY STRZEMIĘ JANOWSKI

KARMAZYNY I ŻULIKI

BIBLIOTEKA PRENUMERATORÓW
„KURJERA PORANNEGO“



88455

DRUKARNIA JÓZEFA ZIELONY, WARSZAWA

K-183/78/94806

TYTUŁEM WSTĘPU — O NARODZINACH POETY

Urodziłem się, co tu gadać, w suterynach pewnej redakcji, pilnie skrobiąc korektę. („Takie casy“ mówią baby wiejskie...).

Zapewne nie wiecie, jaka jest dola korektora w dużej redakcji, bo w małej, funkcję tą pełni sam Naczelný, wraz z żoną, dziećmi, teściową, ciotką i przyjacielem domu. Otóż w wielkiej redakcji, jest do tego specjalista, a specjalista ten to nieszczęsna ofiara złych humorów, kumulujących się przez 48 godzin w gmachu — męczennik, nad którym każdy ma prawo, a nawet święty obowiązek znęcać się do upadłego. Jeżeli jakiś pozał się Boże gryzipiórek powypisuje bzdury i jakimś cudem zostanie zakwalifikowany, przez czyste przeoczenie, do druku — całe odjum spada na korektora. *On zawinił*, że artykuł wypadł pieśko, bo jeden cholera przecinek... był przedstawiony. Słyszycie?! jeden przecinek!! O ten przecinek toczy się zażarta walka. Autor *klunie*

się przez telefon (bo na oczy nie śmie się wyskro-
bek pokazać), że jego artykuł byłby zmienił obli-
cze Europy, — no ale przecinek został przez
korektora przestawiony i artykuł minął bez
echa, względnie z takim echem, że cała redakcja
huczała.

— Co za dzika oferta, co za osioł dał ten
skrypt do składania?!?

Innym razem, awantura o inne głupstwo. Ja-
kaś żona jakiegoś dostojnika, nie miała być obec-
ną na takiej czy owakiej fecie, bowiem jak notat-
ka Iskry wzmiankowała, dama „spodziewa się za
3 miesiące dziecka“. Djabli tymczasem nanieśli
skądziś jedynekę — może jeszcze z czasów wybo-
rów wbiła się w głowę zecerowi? Dość, że za-
miast „3 miesiące“ wyrzwał sobie desperat „13
miesięcy“. Ja zaś, gdzieżbym tam śmiał w proro-
dowem piśmie skreślać jedynekę? — pozatem
czort babę wie? może im większa ranga społecz-
na, tem dłuższy ten proces fizjologiczny? a w koń-
cu i kobiety zmieniły się do niepoznania i nie
chcą ponoć rodzić, więc może być, że rozkładają
sobie ten dziewięciomiesięczny interes na całe la-
ta? Niewiadomo — ale stało jak byk w naszej
gazecie, że pani minitsrowa Ixypsilon nie mogła
być na tej tam paradzie, bowiem za 13 miesięcy
spodziewa się dziecka.

Co się działo w redakcji — lepiej nie mówić.
Tyle tylko, że naturalnym biegiem spraw podob-
nych, skrupiło się na mnie:

— Gdzie korektor—?!? Dawajcie tu tego faj-
dana! Czy pan nie wie, do stu piorunów, że ko-
bieta to nie słoń, żeby 13 miesięcy chodzić w od-
miennym stanie —?!? Czy pan nie wie, że za ta-
ką rzecz mogli nam numer skonfiskować —?!?

— Tego nie wiem panie redaktorze, ale pozwo-
lę sobie sprostować, że co do słonia, to on 24 i pół
miesiąca, a pani ministrowa...

— Do djabła z pańskim słoniem!!! — ryczał re-
daktor, rwąc włosy z głowy.

Innym razem znowuż, przeoczyłem niewinne
lapsus w tytule. Wielka mi rzecz tytuł. Zamiast
„O PLATONIE I KANCIE“ puściłem: „O pal-
tocie Kaina“. Jak dobrzy ludzie mówili,
skompromitowałem tem ze szczeniem moją gazetę,
a konkurencja opравиła ów numer w ramki i po-
wiesiła go swojemu Naczelnemu nad łóżkiem, że-
by miał przyjemne sny.

Każdy jako tako inteligentny czytelnik przy-
zna, że bez porówniania bardziej sensacyjnym
i wzbudzającym zaciekawienie, był ów tajemni-
czy starozakonny „paltot Kaina“ niż li dwie stare
piły z pod ciemnej gwiazdy, Kant i Platon, zwa-
szcza ten ostatni, do którego ze zrozumiałych po-
wodów, każdy normalnie rozwinięty i szanujący
się mężczyzna, czuje abominację. Tymczasem za-
miast mi podziękować — wściekali się 48 godzin.
Potem się dziwić, że nasza prasa na psy schodzi...

Nadomiar akurat wtedy, kiedy terminowałem
w korekcie, kto tylko machał w Polsce piórem,

ten kandydował do tworzącej się Akademji Literatury — a ta znowuż przeklęta Akademia ubrdała sobie „czystość rodzimego języka“, więc najędźniejszy z gryzipiórków, stawał się nagle piekielnie czuły na błędy, na stylizację i na przecinkowanie, a najmniejsza pomyłka w druku, doprowadzał go do stanu wrzenia. Telefony w redakcji urywały się — pojedynki się mnożyły — sypały się sprostowania i — zdenerwowane, krótkie, lecz niewymawialne propozycje, sądy polubowne i na koniec — no lepiej o końcu nie mówmy. Wystarczy, kiedy powiem, że kończyło się na mnie.

I z tych to bólów urodził się poeta.

Miedzy jedną korektą a drugą, między jedną awanturą a drugą, pewnej nocy czerwcowej, siedząc przy moim korektorskim biurku, zacząłem pisać. Trochę z nudów, trochę z żalu, trochę dla odpędzenia snu, a trochę podświadomie, z nadzieją, że anuż — ?!?

Jeśli taki to a taki sumogradus matoł aspiruje do Akademji Literatury jeżeli taka to a taka „*ro dziaśło szarpana*“ (jak mówi WIECH) grafomanka, marzy o palmach akademickich, to niby dlaczego nie ja, który ich wszystkich mam... w piórku, który ich poprawiam, przecinkuję, konjuguję, odmieniam, uczę gramatyki, ortografji, coraz to nowszych pisowni, sensu, składni i t. p...?!?

I tak się urodziłem dnia 13 czerwca 1933 roku,

w dniu św. Antoniego, patrona od złodziei, ściągaczy, doliniarzy i rozmaitych literackich i nieliterackich plagiatorów, w suterrenach Kurjera Porannego, za panowania Wojciecha Stpicyńskiego,—a czytelnik osądzi, czy akt ten odbył się prawidłowo, czy kleszczów na mnie nie połamano, czy wyrzeczono się za mnie dostatecznie szatana czy macierzyństwo było dość uświadomione i czy wstydu moim sadystom redaktorom nie przyniosłem. Niech im Bóg przebaczy.

Ja z mojej strony, jako niewinny noworodek, przy którym akuszerowali oni raczej brutalnie, nie czuję do nich, kochanych żalu — przeciwnie! pozwalam sobie nawet ofiarować im niniejszy tomik, ze szczerego serca, wypełnionego po brzegi atramentem, alkoholem i wdzięcznością.

Niech czytają i niech sobie melancholijnie powtarzają: ile był wart, ten tylko się dowie, kto go stracił.

Post scriptum: Bo z posady korektora z trzaskiem wyleciałem, zaraz po tym paltocie Kaina.

Jerzy Strzemię Janowski.

Warszawa, 1934 r.

CZTERY KARMAZYNY I JEDEN ŻULIK

*Pani Helenie Skinder-Iwanowskiej,
słynnej jeźdźczyni i znamczyni char-
ta, z podziękowaniem za uroczy po-
byt w Jej Lebiodce i przemiłe konne
z nią spaceru.*

I

Przyjmowałem zawsze bez przekonania twierdzenie ludzkie, że chart jest głupi. W myśli dodawałem niezmiennie na takie dictum, z małemi tylko odchyleniami ze względu na wiek, lub płć jego rozmówcy:

— Sam jesteś głupi.

Ale w dziwnych okolicznościach miałem usłyszeć „oficjalne“ niejako, obrzędowe uznanie rozumu charta.

Bawiłem u przyjaciela mego, Latziego Baranjaya w Kurtakeszy pod Budapesztem. W wspólniały, rozległych dobrach magnatów węgierskich, sport polowań z chartami był namiętnie uprawiany. Tereny się nadawały znakomicie, aż do chwili jednakże, kiedy układy wojenne, tereny te obkroili, no i obkroili dochody magnatów.

Węgry mają nieprzeparty zawsze urok. Jest w nich ta już nieznana w reszcie Europy dzikość, połączona z najwyższą oglądą — gościnność bajeczna, kobiety tak piękne jak krajobrazy — ko-

nie tak piękne jak kobiety. Każdy chłop kocha się w koniach i dumą jego jest pokazać swój zaprząg, lub zmierzyć się z zaprzęgiem dworskim. Olbrzymie łany kukurydzy, pszenicy, tytoniu, jęczmienia — przepyszne winice — stadniny jako się rzekło bogate — bujność, plenność, owocność tej ziemi, czaruje każdego, zarówno jak i stroje miejscowe, zachowane od pradziadów i muzyka upajająca — choć ta ostatnia, tak samo niepokojąca czasem swą dzikością, jak i obyczaje.

Naprzykład przyjaciel mój pokazuje mi śliczne foxteriery, przyczem objaśnia.

— U nas na Węgrzech nigdy się tak jak u was, nie obcina foxom ogonów.

— Przecież te co widzę, mają obcięte ogony...?

— Nie. Odgryzione.

Oczy mi stają w słup.

— Jako odgryzione?!?

— U nas zawsze chłopcy stajenni odgryzają ogony szczeniętom, twierdzą bowiem, że obcięte nożem nie goją się i sterczą potem z mniejszą zawadjackością...

Potem oprowadza mnie Baranjay po stajniach, obozach i podwórzu i zatrzymuje się przy żorawiu studziennym.

— Tu widzisz, wiesz się charty.

— Jako wiesz?!? pytam, mocno już zaniepokojony, wobec poprzedniej rewelacji o ogonach.

Wszystkiego się można spodziewać po tych mądjarach...

— Na jesień corocznie robi się próbę z młodymi chartami. Szczuje się nimi zajaca i następuje selekcja. Które charty spisały się należycie, dostają podwójną porcję nówek baranich i zostają przydzielone do sfory — a te, które się nie spisały, wiesz się na tym żorawiu, w obecności najmłodszej i najstarszej generacji charciej. My nie uznajemy zastrzyków z jodu w golenia. Albo, albo...

Jestem oburzony. Czyście zwarzowali?!? Co za barbarzyństwo!!!

Z najbardziej olimpijskim spokojem, odpowiada mi Baranjay:

— Mylisz się. To nie jest wcale barbarzyństwo. To jest nauka i odstraszenie dla reszty chartów. Chart jest bardzo inteligentny i świetnie rozumie, za co kara tamtych spotyka.

W tej formie została mi podana wieść o... niezaprzeczonej intelegencji chartów. Co do mnie, nigdy jako żywo żadnym psom ogonów nie odgryzałem, żadnego charta nie powiesiłem, a mimo to dawno byłem przeświadczony, że legenda o głupocie chartów powstała stąd, że ten pies nie widywał właściwie swego pana — chowany po stajniach, między głupimi gamoniami stajennymi, prowadzony na smyczach do startu i nic poza tem. Ja myślę, że w tych warunkach Salomonby zgłupiał.

Skąd miał czerpać chart inteligencję?!? Gazet nie czyta, ludzi nie widuje, węż wszelki zabija w nim amoniak stajenny (dlatego może chart nie ma węchu?) i — niema głosu. Najważniejsze czynności, gonitwy, dopadanie zwierzyny — odbywa chart w zupełnym milczeniu. Tylko w salonie, na kanapie, umie drań skomleć żałośnie i grymasić...

Moje charty przeważnie nie odstępowały mnie na krok i z czystym sumieniem wyznam, że były to psy najmądrzejsze i najwierniejsze, jakie miałem. A był ich legion, bo od dziecka chowano mnie w kulcie konia i charta. Z tego legionu wyróżniają się jednak w mej pamięci cztery tylko arystokraci, wysokiej krwi Barzoje syberyjskie: SASZA, SERGIEJ, BORYS I BOY, oraz jeden mieszaniec, t. zw. podolski chart, brzydki jak noc, a mądry jak Salomon. (Znowu ten Salomon! Nawiasem mówiąc, powątpiewam zawsze o owej przysłowiowej mądrości Salomona, bo jakże mądry człowiek brałby sobie na kark, tak jak on, aż 300 żon?!?)

Mój bezzenny mędrzec nazywał się SMYK. Kobiety go nie obchodziły, tak dalece, że w pewnych okresach kopulacyjnych, kiedy nie można np. ryzykować charta, nawet za lisicą, bo zdarza się często, że galant pies, doszedłszy lisicy, nie rusza jej — Smykiem można było zawsze szczuć, Smykowi była taka kalendarzowa galanterja najzupełniej obca. Nie był on anachoretą — owszem, zabawiał się foxterrierkami i na wiosnę i jesień,

tak ścierzyście nieraz, że obawiałem się mocno, o cnotę tych latawie i czempredzej zamykałem je na klucz, bo wiadoma rzecz, że u foxterrierek mają zawsze szalone powodzenie duże psy, zwłaszcza charty — podczas gdy psy ich rasy, są stale traktowane jako malum necesarium.

Ale Smyk choć się zalecał zapalczywie, czynił to jakoś ubocznie, bagatelizując haniebnie ród niewieści, traktując je wyraźnie, jako może epizody zabawne, lecz tanie i niegodne żywszego zainteresowania. Jedyną jego pasją, jego życiem, było polowanie.

Zjawiał się u mnie pewnego dnia na podwórzu, niewiadomo z jakiej racji, gdyż był własnością mego sąsiada p. Wikarskiego i w dodatku psem, nieprzywiązyującym się do ludzi, a li tylko do miejsca. Tymczasem opuścił dawne miejsce zamieszkania i przeniósł się z larami i penatami, t. j.: ze swoją żyłką myśliwską, ze swoim osiwiatym, nierasowym pyskiem i skandalicznie, zgola nie wedle charcich kanonów zakręconym ogonem, do mnie. Ot żulik.

Powiadali, że „obrazil“ go u sąsiada kucharz. Możliwe. Trzy czwarte chartów, jest delikatne na honorze. U mnie, zaraz pierwszej zimy, wziął Smyk sam jeden 22 lisy. A jak on lisy brał!!!

Miał swój własny, opatentowany system — na inne psy się nie oglądał, na tradycję pradziadów gwizdał. Obliczał dokładnie, nie jak pies, ale jak profesor matematyki. 1) swoje siły — 2) swoją



szybkość — 3) teren — 4) obyczaje lisa. Oszczędzał się i tyle tylko dawał ze siebie, ile było absolutnie konieczne, ani o włos mniej, ani o włos więcej. Jeżeli miał przed sobą teren równy jak stół, a z boku las — wcale nie szedł za lisem, biegnącym w przeciwną stronę lasu. Smyk wiedział, że to udawanie, że to manewr lisi, który się skończy nieomylnie nawrotem ku zbawczemu lasowi, ku jedynie bezpiecznemu schronowi przed psami.

Chart przecie w lesie niczego nie weźmie i ponadto, w ferworze, rozbije sobie łeb o pierwsze lepsze drzewo. Wie o tem lis, wie o tem Smyk. Więc Smyk nie głupi był tracić czas na fanaberje i próbne chytrłości lisa. Powołutku, truchcikiem nieomal, kiedy inne charty gnały jak idjoty za lisem, on sobie szedł ku lasowi, jakby niczego nie widział i — tu czekał.

I nigdy stary filozof się nie omylił. Lis, dopadany przez charty, skręcał w pewnym momencie desperacko ku linji lasu, pod ostrym kątem i tak nagle, że tamte psy w rozpędzie przekoziółkowały się niejeden raz, a Smyk, odpoczęty, czynił jeden błyskawiczny wypad, jeden chwyt za kark — i było po lisie. Wtedy wracał ku nam Smyk, zadowolony i wskazywał pyskiem, ogonem, całem zachowaniem, że tam leży pokonany zwierz. Na towarzyszy, na ich zrzędle miny skonfundowane, i na ich wywieszzone ozory, patrzył jakby z lekką ironją.

Lecz w tym genialnym systemie Smyka, obja-

wiał się może jego brak rasy. Smyk zapatrywał się na sport helleńsko, nieolimpijsko, utylitarnie, że tak powiem. On gonił lisa, aby go schwycić, z klasą czy bez, z tradycją czy bez — byle go mieć. Nie chodziło mu o królewski gon przez pola, o zmierzenie sił z wichrem i zwierzem, o tę upojną, a wrodzoną każdemu stworzeniu, pasję zawodnictwa. Wprawdzie z lisa miał on nici, ale miał satysfakcję, *utylitarną, satysfakcję celowego trudu.*

Chart wysokiej krwi zachowuje się zupełnie inaczej. Ten helleńczyk nie bawi się nigdy w jakieś karczemne burdy — nie „gryzie się“ nigdy z kundlami naprzykład — on tylko *zagryza*, lub udaje, że niewidzi zaczepki. Rozgniewany, nie unosi się. Zimno wchodzi między atakujące go pospólstwo psie i rozrzuca je poprostu w prawo i lewo i idzie dalej, nie oglądając się. Z wilkiem czy lisem chart walczy, czasem, bo zazwyczaj, w paru minutach, strasliwym chwytem za kark i rzuceniem o ziemię go zabija.

Wilkodławy idą zawsze parami. Zgrani jak tennisiści, biegną po obu bokach wilka i równocześnie go powalają. Takie dwa delikatne zdawałoby się stworzenia z serwskiej porcelany, cudne, o wypieszczonym i wychuchanym wyglądzie — ciskają się w tempie piorunującym na dziką bestję stepową i — trójka ruluje. Tylko, że ścisk szczęk charcich jest przemożny i śmiertelny. Nie puszcza, aż wilk wyda ostatnie tchnienie. Za li-

sem biegną w pojedynek, upojone jakby, nie widokiem gonionego zwierza, lecz samą gonitwą, samą rozkoszą swej szybkości i wytrzymałości, z szybkością i wytrzymałością szaraka i lisa. Jest to u niego jakby pańska zabawa, jakby wyarystokratycznienie instynktu, w gruncie rzeczy krwiożerczego, ale wyfitowanego na sport

U Smyka tedy, powtarzam, była to robota mądra, przemyślana, podlejszej więc sorty — ale u szlachetnych Barzoi był to czysty, nieskalany sport helleński.

Smyk kochał miejsce zamieszkania, nie ludzi, więc też w wędrówce mojej powojennej, nie poszedł za mną. Pozostał w Małopolsce i może żyje do dziś, bo Smyk jest nieśmiertelny, a przytem bezpieczny co do swojej osoby. Nikt nie ukradnie tego szpetnego kundysa, nikt go nie posądzi o świetne, zatajone zalety. Przeszły nad Struty-nem kohorty rosyjskie, tatarskie, mongolskie, pruskie, ukraińskie, bolszewickie i nic mu nie zrobiły. Lata też mu chyba nic nie robią — powtarzam, wszyscy twierdzą, że Smyk jest nieśmiertelny, choć najmniej jest bogom podobny.

Sergiej, numer drugi moich słynnych chartów, przeszedł już do literatury pięknej dawno, (zobacz: KSIĘGA O PRZYJACIOŁACH Z. Nałkowskiej i M. J. Wielopolskiej), więc cóż ja biedny mogę mu już ująć, czy dodać?!? Dodam tylko to, co owe Autorki przeoczyły, wzmiankę o sile fizycznej Sergieja. Kiedy pierwszy raz ujrzał mkną-

cą na łące ogromną, roczną, tęgą jałowkę — puścił się za nią w pogoń i, lekko, bez wysiłku, przewrócił ją do góry nogami. Potem stanął nad nią zakłopotany, zażenowany, bezradny i wystraszony i czekał aż ja dojdę, aby mnie zapytać mądrze mi oczyma: co zrobić z tym fantem? bo to przecież nie zając, nie wilk, nie lis.

Na zoologii się nie znał, to fakt, ale że siłę miał herkulesową to pewne i nie daj Boże z tem zwierzęciem, które się pod jego kły dostało!!!... Tych klów nie nadużywał. Kiedy naprzykrzał mu się buldożek francuski, IWO DE MONACO, bęczał zaspany, ale czasem zaczepiwy, Sergiej podchodził do niego z obrzydzeniem — brał końcem zakrzywionego pyska za kark i rzucał nim, klasycznym rzutem, jak dyskiem, o parę metrów w bok, z nonszalancją i wzgardą. Nawet nie wzgardą — raczej z obojętną wyniosłością. Iwo leciał jak z procy wypuszczony, koziółkował w powietrzu i rozciągał się na płask, wściekły i ogłupiały na piasku, czy na murawie.

Sergiej był panem całą gębą — znały przed nim mores wszystkie stworzenia, a kochał się całe życie w małej, drobnej foxterrierce gładkowłosej, Folly, którą też zabił swoją miłością wielkoluda, dopadłszy ją raz przypadkowo, w okresie odpowiednim. Nie zniosła drobna suczyna tego śmiertelnego uścisku atlety.

W roku 1914 charty moje, wskutek zawieruchy wojennej przepadły, czy to ukradzione, czy też

zastrzelone. Został jeden BOY, barsoj ogromny, 96 cm. wysoki; śnieżnobiały, silny, zły na psy i na ludzi. Uznawał i słuchał tylko mnie.

Kiedy spодobało mu się położyć na kanapie w salonie i służący zamierzał rano sprzątać, głucho warknięcie przestrzegało go: ruszaj precz, pókim dobry!!! Nie było żartów. Wtedy budzono mnie z najgłębszego snu i błagano, abym wyeksmitował Boya. Inaczej porządek domowy djabli brali, salon pozostawał niesprzątany, co w końcu mnie mało wzruszało, ale co wstrząsało ponoś światem w posadach. Pewnego razu w czasie mojej nieobecności, wpuszczono do mego pokoju kupca na opasy. Wszedł i usiadł na brzeżku krzesła. Spodełba patrzył na niego swemi skośnemi, zmrużonemi oczami Boy. Ani drgnął. Ale kiedy kupiec, nie mogąc się mnie doczekać, chciał wyjść z pokoju — Boy jednym skokiem był przy nim: wejść i siedzieć możesz, typie nieznany — ale wyjść nie wyjdiesz, aż przyjdzie mój pan!!!

Zastałem ich tam obydwu w pozycji skamieniałej.

Boy brał ze mną udział przed wojną w kilku polowaniach, szedł zawsze bez smyczy, tuż przy moim koniu. W dobrym terenie zając był dla niego zabawką. Dystansował wszystkie psy i najlepsze nie mogły nawet zamarzyć o sprzątnięciu szaraka, o ile szedł Boy. Ale oraniny nie lubiał. Ujrzawszy ją, stawał, patrzył melancholijnie za umykającym zającem i wracał truchcikiem do

mojego konia: nie, mój kochany! to nie dla mnie! Niech się babrze w błocie tanta hołota...

Późną jesienią 1914 roku Boy, zdawna już nietrenowany, trochę przez to ocieźalszy, pobiegł za mną w pole. Stałem przy robotnikach kopiących kartofle. Któryś krzyknął:

— Dywy, dywy, zajać!!!...

Odruchowo zawróciłem konia i podgalopowałem — Boy ruszył z miejsca i w parę sekund leżał szarak rozciągnięty. Ledwo się to stało, djabli nanieśli lisa. Mimo moich manewrów, aby go Boy nie dojrzał — skośne jego oczy wypatrzyły mykitę i — znowu za chwilę leżał lis, rozciągnięty obok zająca. Do wszystkich patronów niebieskich wdychałem, aby znowu jakiegoś bydlaka nie nanieśli, wiedziałem, że Boy, nietrenowany, może to przypłacić zapaleniem płuc. Na nic patronowie niebiescy! — bo oto wypsnął się z kartofliska drugi lis. Naumyślnie odwróciłem konia w przeciwną stronę i krzyknąłem: Boy nazad!!! lecz los zrządził inaczej. Boy zobaczył lisa i pomknął szalonym tempem na dystans około 500 metrów. Przeskakiwał rowy, dawał klasyczne obroty — przy ostatnim obrocie schwycił lisa za kark i — zrulowały oba. Oba trupy. Pękł kręgosłup lisowi, pękło serce Boyowi.

Zapaśnicze, dzikie, wierne serce Boya.

Po Boyu przyszedł okres żałoby — długo nie miałem chartów, choć, po całej Małopolsce cofające wojska rosyjskie, pozostawiały bezpańskie,

prześliczne ich okazy. Pewnego dnia dano mi znać ze Lwowa, że jest do nabycia pies bardzo ładny i cnotliwy, ale zły. Nie uznaję z zasady złych psów, bo takich niema, są tylko źli ludzie, z psami nieumiejący postępować — czempredziej więc posłałem po tego rzekomego djabła.

Wyprawa o kilkadziesiąt kilometrów do Lwowa była podówczas wyprawą jak za morze. Pociągi chodziły jak chciały, zapchane wojskiem, zatrzymywane na każdej stacji po parę godzin — nazajutrz więc dopiero zjawił się BORYS. Wszedł na korytarz, prowadzony przez żołnierza, na obrożę, nabitej czterema sterczącymi na 2 cm. gwoździami (koralami) od wewnątrz, a zaciąganej jak szlinga. Cienki, złowrogi pysk zamykał mu żelazny kaganiec.

Wściekli się poprostu z tymi bezpiecznikami!!! Czempredziej więc zdjąłem kaganiec i morderczą szlingę. Borys przyjął to z widoczną satysfakcją i okazał mi z miejsca niby przyjaźń i sympatię. Został sam w kancelarji. Wracam po paru godzinach i zastaję taki obrazek: na tapczanie leżą wszystkie moje kapelusze, czapki, rękawice, harapy, poznoszone, a na tym kopcu, jak lew belforski, Borys.

Na moje delikatne zapytanie: coś ty idjoto zrobił!?! Borys mniej delikatnie pokazał mi cały garnitur swoich wspaniałych zębów. Żdzieliłem go harapem, wiedzy — bez namysłu, rzucił mi się do gardła. Znam dobrze rozmaite sposoby walki

wręcz z różnemi rasami psów — charty trzeba np. szybko schwycić pod szyję, a równocześnie drugą ręką za górną szczękę, ubezwładniając w ten sposób mordę. Nie lubię bicia zwierząt — na drobne psy wystarczy głos — na takie zaś wilkołaki, trzeba walki równego z równym. To też rozpocząłem walkę zapaśniczą, wedle kanonów zgoła niefrancuskich, z Borysem.

Borys starał się wyzwolić szczękę z mego uścisku — udało mu się to kilkakrotnie, pogryzł mnie rzetelnie, tarzaliśmy się po dywanie długo, wreszcie Borys zesłabł. Przestałem go kułakować, trzymając jednak jeszcze krwawą jego mordę w garści. W końcu i ja osłabłem i puściłem. Mój zapaśnik, skulony i jakby zawstydzony, schował się pod biórko i dopiero po paru godzinach i na kilka słodkich słów z mojej strony, zdecydował się wyleźć.

Podszedł do mnie nieufnie, drżąc nerwowo, ale gdy go pogłaskałem, parę morałów dodawszy, rozchmurzył swoje piękne, złowrogie oczy, chlapanął mnie językiem po gębie i od tej chwili byliśmy przyjaciółmi.

Trzeba było teraz zapoznać go z całą zgrają psów, bardzo ostrych na każdego obcego przybysza. Wszystkie gatunki były sowicie u mnie reprezentowane, i wszystkie cechy i charaktery miały swoich przedstawicieli. Były takie fantasty, które potrafiły zapędzić się do jamy borsuczej, lub lisiej i zginać tam w zajadłej podziemnej walce — by-

ły takie, które nie dały się całą dobę oderwać od drzewa, na którym kot tkwił przyczajony — i były takie, które znikwały w lesie, niewiadomo dla jakiego bzika. O jednym, ułożona była nawet w Strutynie złośliwa „*pieśń dziadowska o zaginionej psinie*“, którą tu dla pamięci i z pamięci notuję:

— *Był ci pan jeden, co miał psa z tresurą,
(bo naderoszystko tresura jest górą!)
i takta dużo psu poświęcał casu,
az zbiegł do lasu.*

*Napsód pan luzem, potem służba cała,
sukać psa w lasy społem się udała,
i nic nie jedli, ani nic nie spali,
psa furt sukali.*

*Za psem, za panem, pani domu posła,
w kosyku dla niech jedzenie poniosła
i słodkim trylem wciąż na psa wołała,
gardło zdzierała.*

*Za panią w końcu, kucharka i pracka
posły za pieskiem (niek go kopnie kacka!)
i tak ci ciągiem w lesie tym mieskały
dom zapomniały.*

*Zaś kundys wreszcie trafił sam do domu,
cicho zbereźnik wsedł se pokryjomu,
cały dom zesedł od ściany do ściany —
gdzieś szezły pany!!!*

*I tak się błakał pies nie scędząc chodu,
aze w salonie zdechł na oknie z głodu,*

*bo państwo w lesie na ament siedziało,
tak ci żdzicało.*

Ale wracajmy do Borysa. Wziąłem go na smycz i ruszyliśmy składać wizyty. Najpierw chartom. Zapoznanie nastąpiło bez żadnych awantur — Borys został przez aklamację przyjęty do miejscowego, silnie obwarowanego klubu psiego. W parku puściłem go wtedy wolno, aby się wybiegał swobodnie po wszystkich przejściach i emocjach. Nagle widzę, że w pewnym punkcie skamieniał Borys w bezruchu, wpatrzony w dal i — zanim się zorientowałem o co chodzi, mój Borys runął do stawu między łabędzie. Kretyn nie widział zdaje się nigdy ptactwa na wodzie, z czego poznałem, że co do jego myśliwskich zalet musieli mnie pocyganić. Borys był najwidoczniej mieszczuchem, co następnego dnia miało się okazać jeszcze dobitniej.

Tymczasem wieczorem zabrałem psa ze sobą do miasta i, idąc za interesami do rozmaitych komend wojskowych, zostawiłem Borysa u p. M. J. Wielopolskiej, która zagarnięta ze szpitalem swoim przez wojska rosyjskie, siedziała tu w Złoczowie. Kiedy wróciłem po niego, zastałem znowu dziwną sytuację. Przy stole, w jadalni, przy nietkniętej kolacji, stała na krześle z talerzem w ręku p. M. J. Wielopolska, a Borys obok, ze łbem opartym na obrusie. Najmniejszemu ruchowi pani Wielopolskiej, odpowiadało groźne warknięcie

Borysa. Byliby tak stali do dziś, gdyby nie mój powrót i odwołanie tego wściekłego tygrysa.

Teraz trzeba było się wziąć do najglówniejszej próby. Zapowiedziane z góry cnoty Borysa, na jednym punkcie złośliwości, okazały się zgodne z prawdą — zobaczymy co będzie z cnotą myśliwską. Nazajutrz więc wyjechałem konno, z wszystkimi psami, foxterrierami etc. w pole. Poszczułem zająca — ruszyła moja klacz galopem, ruszyły psy, tylko Borysa jakoś nie widać, przy czem czuję, że moja klacz, chodząca jak zegarek, pasjonowana do polowań, bardziej niż charty, niż ja, zaczyna się dziwnie zachowywać, ociagać, jakby wierzgać... Co się okazało?!

Oto Borys zamiast brać zająca, brał kobyłę... za nogi. Zdegustowany do kundla, odesłałem go z powrotem do Lwowa z odpowiednią adnotacją. W pół roku spotkałem Borysa we Lwowie. Nie zauważyłem go wcale, gdy z tłumu wyskoczył nagle, zbiedzony, wynędniał chart. Zawołałem go na chybi trafi: Borys!!! a w psa jakby piorun trzasł. Stał, spojrzał na mnie i skoczył mi przedniami nogami na piersi z najczulszem przywitaniem. Wzruszył mnie do głębi — lecz cóż? byłem wtedy akurat uwięziony przez austriaków i trymbalony na Węgry, gdzie na długo internowano mnie w Rimaszombat. Zdołałem tylko w dobre ręce przyjacielskie oddać wynędniałą bestję, zapowiedziawszy, że jest zły i do niczego. Przyjaciół

mój nie miał żadnych aspiracji wyższych — zgodził się na wszystko i zabrał psa do siebie.

Do wspomnień o chartach, muszę przyłączyć — nie śmiecie się amatorzy chartów! krótką wzmiankę o... kozie.

Była u mnie na podwórzu przybłąda koza, pół-angora, powszechnie zwana NENI. Przybłąkała się maleńką i wychowywała się w psich budach, tak że ubrdała sobie, że jest psem. Ona pierwsza dawała znak, że obcy kundys wszedł na podwórze, a kiedy psy rzucały się na przybysza, koza stała nad zagryzającym się, rulującym po gazonach kłębowiskiem i, z satysfakcją, merdając krótkim ogonkiem, patrzyła, aż jej oczy wylażyły.

Czasem pomagała. Rozpędzała się i z wdziękiem waliła różkami w peryferje nieprzyjaciela — no ale sądny dzień nastawał dopiero, jeśli obcy kundys zaatakował impertynentkę kozę. Wtedy cała sfora rzucała się na niego w obronie Neni i rzadko kiedy intruz żyw wychodził z opresji. Koza czuła największą przynależność rasową do chartów i pewnego pięknego dnia ruszyła z nimi, za moim koniem, na polowanie. Charty za zającem — koza za nimi — charty przez rów — koza za nimi. Raz wpadła jednak do Złoczówki i rozgłosnym, żalosnym bekiem prosiła o ratunek. Jaki taki chart się odwrócił — reszta jednak, rozogniona gonem, ani się nie obejrzała — nie było rady. Musiałem przeklętą kozę ratować sam, bo

zresztą nie wyobrażam sobie, jakby ją byli przyjaciele czworonożni z wody wydobyli.

Moja sfora, z egzotycznym dodatkiem kozy, stała się słynną w okolicy — tylko raz pruski oficer, prowadzący swoją kompanię, zamarł w osłupieniu, kiedy wypadłem zza pagórka na koniu w pełnym galopie, a za mną zbita gromada chartów z kozą w ogonku. Tak zdumiał, że roztworzył gębę, potem podjechał do mnie, przedstawił się i zapytał, dla jakich celów trenuję kozę do polowań? Bardzo głową kiwał i nie pojął, jak można psuć porządek rzeczy i świętej przyrody. Uważał, nie bez słuszności, że koza jest do innych celów.

Neni była do żadnych — prócz do zwarzjowanych prób symbiozy z chartami. Pozatem niszczyła w zarodku resztę róż w ogrodzie i kwiatów w oranżerii, aż i tę radość jej odebrano, kiedy ostatecznie wyleciała w powietrze cała oranżeria, wraz z wszystkimi szybami we dworze. Pozostały jej tylko charty i polowania — temu się też oddała z kozią pasją, znacznie namiętniejszą, niż przysłowiowa „szewska“.

Ale po śmierci Boya, po zawodzie z Borysem, moja tęsknota za pięknym chartem, była wciąż nieukojoną, mimo że dopytywałem się o nie na wszystkie strony. Aż dnia pewnego, zjawilo się przedemną cudo, jakiego nikt chyba jeszcze nie oglądał — miłość moja w życiu największa, najgłębsza i najbardziej wzajemna.

Weszła w moje życie SASZA.

Różowo-kremowa, z pyskiem mrówkojada, budową wiotką, a muskularną, włosem jak żadna Miss Universum po wiecznej ondulacji, o chodzie tak charakterystycznym u charta, a tak przypominającym drobny, kołyszący kłus wielbłąda — Sasza była marzeniem. Nie rozstawaliśmy się nigdy, Sasza i ja — podróżowaliśmy zawsze razem, na piechotę i koleją — a żaden konduktor na świecie nie odważył się zakwestjonować praw Saszy do okupowanej np. aksamitnej kanapy w przedziale wagonu. Nie było Jaśnie Pani ponad nią i nie było wdzięczniejszego obrazu zresztą, jak ten srebrzysty Sewr, na spłowiłym czerwonym aksamicie.

Sasza w domu chodziła za mną jak nieodłączny cień — kiedy wychodziłem bez niej, budziła się z najgłębszego snu i, podniósłszy swój wąski, długi pysk, cieniutko i boleśnie wyla. Nie lubiała, kiedy nie zwracałem na nią uwagi, nawet przy stole w jadalni. Pewnego razu, siedziało liczne towarzystwo przy podwieczorku, przy dużym okrągłym stole, zawałonym filiżankami, talerzykami, owocami, koszykami, cukierniczkami, dzbanuszkami. Jak to na wsi. Nie było literalnie dwóch centymetrów wolnych na obrusie. Sasza stała jak zwykle obok mnie, ze łbem opartym o moje kolano. Żdziwiło ją, że długi czas zajęty rozmową z gadatliwym sąsiadem, nie zwróciłem się do niej — bez namysłu więc, z miejsca, czterema nogami wskoczyła na stół.

Tylko taka baletnica mogła skoczyć w podobny sposób, między milion przedmiotów tłukliwych i płynnych, jak śmietanka, kawa i herbata i niczego nie stłuc, niczego nie zaczepić, niczego nie wylać. Pośrodku stołu stanęła teraz jak posąg, z wyraźną kokieteryją pozwalając się podziwiać. Sasza nie łasowała nigdy, nie brała udziału w charcich, rozbójniczych nieraz wyprawach kuchennych. Taki SOKÓŁ mieszaniec, np. potrafił z rozpalonego blatu kuchennego brać w pysk garnuszek kipiącej śmietanki, zanieść go w krzaki i, poczekawszy aż ostygnie, końcem pyska wysączyć ulubiony nektar. Mleka nie lubiał cwaniak, tylko śmietankę. Brał tak samo słoiki z konfiturami i jaja z kurnika.

Pożegnalny bal w Strutynie, zakończył się nawet dzięki tym zbójom, fatalną katastrofą. Towarzystwo tańczyło w salonie ochoczo, nawet bardzo ochoczo, bo np. koteljon odbył się pod znakiem: „panowie na koniach!!!“ (i rzeczywiście wjechali panowie konno oklep na salę i stanęli obok swoich danserek — podziwiał się wtedy niemało, nawiasem mówiąc, mądrość koni, ewolucjonujących swobodnie i ostrożnie po gładkiej posadzce w takt muzyki!) Bufet był rozstawiony na stolach w jadalni. Nagle gruchnęła hiobowa wieść: bufet znikł!

Istotnie charty weszły przez otwarte okna i zjadły i wyniosły wszystko, nawet torty, nawet foury i kanapki, a tylko owoce patrzyły ze swoich

kloszów, smętnie, na poplamiony czekoladą, majonezem i błotem obrus i na puste półmiski. Sasza oczywiście była zbyt wielką damą na podobne wypadki. Snęła się za mną po salonie wśród koni i ludzi tańczących, sama jak baletnica, która tylko czeka, aby rozpocząć swój najpiękniejszy, o wiele piękniejszy od ludzkiego, popis.

Szwejkii austriackie tymczasem, nie dawały nam wciąż spokoju — szykanując, internując, gnębiąc i pod sądy wojenne stawiając. Wywieziono mnie znowu na 4 tygodnie z domu, pod bagnetami. Po powrocie wpadam do mieszkania, o nikogo nie pytając, tylko o Saszę — a ta ostatnia ujrzawszy mnie, jakby oszalała! naprawdę obojeśmy się rozplakali, bo jej wyraźnie łzy leciały z pięknych, skośnych, wąskich oczu. Dowiedziałem się, że po moim wyjeździe, Sasza dała susa przez otwarte okno i pognęła w świat. Czy nie dziwne-to, że stworzenie, pozbawione węchu, poszło nieomylnie w kierunku, w którym pociąg mnie odwiózł, a więc trasą kolejową ku Lwowowi, tak że schwycił ją dopiero znajomy mi oficer, aż o 40 klm. od mego majątku, na stacji Krasne?!

Czy nie mają racji ci, którzy twierdzą, że inny jest zmysł orjentacyjny psa, niżli sam tylko węch? Charty nie mają węchu, a moja Sasza jednak trafiła na moją „drogę“ i gnała w moje ślady, choć wszyscy w domu ją pieścili i uwielbiali. Oprócz psów. Ona nienawidziła wszystkie psy — zazdrośna była o mnie — najmniejszemu szczenięciu

zbliżyć się nie dała, bo w tej chwili, zmrużywszy oczy, szczyrzyła przepyszne, białe jak śnieg kły.

Trzeba było ją nareszcie spróbować, czy wywiąże się ze swego myśliwskiego zadania. Powątpiewałem nieco o jej zdolnościach, zahypnotyzowany jej salonową, raczej nawet buduarową oglądą, jej leniwemi, wytwornemi manierami — chyba taka dama nie ruszy się z sań, z pod wilczej szuby — !? Omyliłem się grubo. Na saniach ignorowała towarzyszy, trójkę chartów, które się czuły trochę jakby nieswojo w bliskim sąsiedztwie tej srebrnej atlasowej tygrysicy. Tak dalece nieswojo, że nie dojrzały stare wygi lisa — lecz Sasza dojrzała i dała z miejsca cyrkowego susa, runąwszy za lisem. Bojąc się o nią, gnałem za nią saniami co koń wyskoczy, szczując resztę chartów, aby jej pomogły. Teren był wyjątkowo nierówny, niewłaściwy dla chartów — toteż moje zdumienie nie miało granic, kiedy, objechawszy pagórek, ujrzałem Saszę podchodzącą do mnie swoim lekkim, wahadłowym truchcikiem, z cudnym pyszczkiem zamazanym krwią, jej własną i lisią. Lis leżał na śniegu jak długi.

Ani spojrzała na niego — patrzyła na mnie jakby chciała rzec:

— Właściwie mało mnie ten głupi zwierz obchodził, ale tyś chciał i dla twojej wyłącznie przyjemności, poszłam za nim, aby ci go dać... Masz lisa.

Królewskie były gesty Saszy i królewskie każ-

de powiedzenie jej wiernych, zmrużonych oczu. Nazbyt to stworzenie kochałem, aby poprzestać na doraźnem wykorzystaniu tylko, dla własnej satysfakcji, jej charcich zalet. Mimo więc sezonu „lisiego“, połączyłem ją węzłem małżeńskim z pięknym, importowanym z Pragi Czeskiej TSA-REM. Chciałem aby ród Saszy, mężnej, wiernej, najcudowniejszej Saszy, nie zginął i — zrobiłem najokrutniejsze głupstwo.

Urodziły się szczenięta — brzydkie jak wszystkie charcie szczenięta (jedyne z psiej rasy, które są brzydkie), zdrowe i tegie, ale u Saszy przyszło zakażenie krwi. Pruskie i austriackie regiments-arzty i weterynarze ratowały jak mogły, nie pomogło nic. Wiedziałem, że moja Sasza stracona. Umierała w moim gabinecie na tapczanie, nie pozwalając mi odejść ani na chwilę. Przeszawała jęczyć, tylko kiedy jej rękę podsuwałem pod umęczoną głowę. Śmierć zbliżała się.

Ujrzałem wtedy jakiś niezauważony dotychczas niepokój w jej oczach i w jej zamierających ruchach. Zrozumiałem, że Sasza czegoś chce, czegoś szuka, jak człowiek pragnący ważne jakieś sprawy przed śmiercią załatwić. Oczy jej zdawały się mówić błagalnie:

— Kocham cię, ty wiesz, wiernie, ale zrozum, że...

Zrozumiałem.

Pognałem do boksu po jej dwutygodniowe szczenięta i podawałem je kolejno umierającej

suce. Liznęła je z miłością, tkliwie, w pełni świadomości, że je żegna, a potem położyła głowę na moje ręce, liznęła je trzykrotnie i skończyła bez wydania głosu.

Chart jest milczący w najważniejszych chwilach swego życia. Chart jest mądry i wierny, a kto tego nie wie i nie rozumie, nie jest wart posiadania charta.

PANNY MĄDRE I PANNY GŁUPIE

Starym Przyjaciółom, Stefanowi i Włodzimierzowi Dembińskim, dziś Pułkownikom Wojsk Polskich — ongiś towarzyszom niejednej z opisanych tu eskapad konnych.

I. OSTROGI

Kiedy zacznie mówić o koniu kawalerzys'a -- kiedy pisze o nim natchnione poematy taki generał Wieniawa Długoszowski, przyjmujemy to z radością, ale bez zdziwienia. Dziwi nas tylko, kiedy słyszymy o koniu, rzeczy wzruszające i mądre, od piechociarza. Jeżeliby wpadła przypadkiem do ręki panu Generalowi Składkowskiemu niniejsza książka, niech mi wybaczy — wyznać jednak muszę, że nic mnie bardziej nie wzruszyło, jak jego, właśnie o koniu, SIWUTKU, wspomnienia niekawaleryjskie:

— *Sirutek zabity!!! mój Sirutek zabity! niedawno, w chwili gdy już jechałem z Korwla i byłem niedaleko od niego! Nawet ciała jego nie zobaczę! bo leży tam, gdzieś na skrzyżowaniu dróg pieszczystych, gdzie w tej chwili są moskale. Brzuch jego musi być już rozdęty, jak u tylu koni poległych, które widziałem na wojnie, a nogi, sztywne skurczem pośmiertnym mięśni, sterczą w powietrzu — ech! do cholery jasnej!!! Kochane konisko!...*

I tak samo chwytające za gardło słowa, kiedy Dudoń-ordynans, opowiadał, że „*Siwutek skopany został przez Dońkę i płakał bez śpasu, płakał przytulony do sosny*“... a zwłaszcza to wprost prześliczne, tak prawdziwie kawalerskie westchnienie gen. Składkowskiego, na widok ostróg, zafasowanych niespodziewanie na froncie od intendenty:

— Biedny Siwutek! Ktoby to się spodziewał, że między nim a mną, nagle... ostrogi!!!

Szczęśliwszy byłem ja, bo między mną a koniem, nigdy nie stanęły ostrogi. Bezpośrednio więc, całym sobą, nieprzedzielony żadną zaporą, odczuwałem drgania końskiej duszy, która jest tak samo różnorodna, jak u człowieka. Są konie lepsze i gorsze z charakteru — są konie genialne, są chytre i zmyślne, są tępe łamagi, są absolutne i beznadziejne kretyny, są maszyny. Znakomite, precyzyjne — ale maszyny.

Słowem — panny mądre i głupie.

II KOBYŁA Z KRĘCKIEM

Przed wojną, roku 1912, kupiłem od kuzyna mego Feliksa Scazighiny z Przewoźca, Prezesa Tow. Wyścigów Konnych we Lwowie, którego fantastyczne przeżycia końskie opisuję na dalszych kartkach niniejszej książki — klacz irlanderkę (hunterkę) MITZI.

Przy kupnie zażądał Scazighino, aby moja rodzina podpisała cyrograf, iż nikt nigdy nie będzie miał do niego pretensji w razie gdyby kobyła spowodowała moją przedwczesną śmierć. Makabrycznie więc zapowiadał się nabytek.

Mitzi miała kręcka, czyli była tak zwaną Dumkollerką — co na język rodzinny przetłumaczywszy dosłownie, znaczyło: głupia jak cholera — albo też: i głupia i cholera. W każdym razie oba te epitety, bez względu na ich stylizację, należały się jej uczciwie. Zdaje się jednak, że te właściwości były nabyte, nie wrodzone. Mitzi bowiem występowała ongiś na niebylejakich konkursach w Wiedniu, w skokach klasycznych, rekordowych zdobywała laury, aż razu pewnego wywalila się na przeszkodzie — huknęła się w łeb i odtąd zmieniła usposobienie.

Stała się złą, oschłą, nieobliczalną dummkollerką. Zabiła jakiegoś wiedeńskiego, niemądrego bankiera — czy zresztą kiedykolwiek bankier jest mądry!? (Chyba kiedy pożycza pieniądze kawalerzystom i sportsmenom na mały procent). Lecz poco taki do kroćset djabłów gramoli się na konia?! Uważam zatem, że to był ostatni odruch przytomności umysłowej u Mitzi, iż zlikwidowała bankiera. Wtedy kupił ją amator warjatów końskich Scazighino, a w końcu niemniejszy amator dummkollerów, ja.

W terenie, Mitzi skakała fenomenalnie, na puszczonech cuglach, lekko, łukiem wspinałym —

na torze publicznym jednak, nigdy i za nic. Tłumy — banty — muzyka — przypominały jej zapewne ów fatalny wiedeński upadek. Przy pierwszej przeszkodzie tedy, zaciągała się, oczy i nogi stawały jej w słup, nie było siły, któraby ją zmusiła do skoku. W terenie zaś powtarzam, była jak zegarek — niezmieniała tempa, równa, biorąca wszystko gładko, z precyzją wprost niesamowitą. To co dla innych koni wydawałoby się trudnym popisem cyrkowym, dla niej było zabawką: np. przeskakiwanie spotykanych w polu fur chłopskich — co stale uprawiałem. Prawie, że śpiąc w siodle, można to było robić i tak samo galopować — a było na czem siedzieć! Mierzyła 178 cm.

Zarozumiały na punkcie swojej znajomości psychologii końskiej, spróbowałem po pewnym czasie wziąć Mitzi na tor publiczny i — pierwszy raz w życiu zawiodła mnie moja wiara. Mitzi, skacząca u mnie na wsi 2.06 mtr. — odmówiła skoku przy przeszkodzie, liczącej zaledwie 1.20 metr. i — nie tylko odmówiła, ale buchnęła na barjery jak obłąkana, zrobiła z nich marmeladę i runęła między publiczność, z oczami, wylazłymi z orbit i ogonem wirującym jak korbka od aparatu kinematograficznego. Nie było sposobu. I widocznie należało do jej niewzruszonych zasad, pomścić na jakimś jeźdźcu swoją porażkę, bo tak jak niegdyś na niefortunnym bankierze, tak teraz zemściła się na mnie. Na pierwszej przeszkodzie na wsi, przeszkodzie którąśmy setki razy brali śpiewająco —

zrulowała nagle ze mną, wylądowawszy zupełnie normalnie. Kobyła nie — ale mnie odwieziono do szpitala, z bardzo sztucznie wykręconymi ze stawów barczykowych i łokciowych kośćmi.

III. NIEUDANY POPIS WOKALNY

Najbliższy szpital był w Przemyślu. Z przesiedaniem wlokłem się trzy godziny. Ból w ręku prawym był nieludzki, bo całe ramię, wyszłe ze stawów, wykręcone było w „przeciwną stronę“. Niecierpliwie więc wyglądałem szpitala. Kiedy tam dotarłem, zakonniczki flegmatycznie oświadczyły, że chirurga na razie niema, więc że operacja może nastąpić dopiero nazajutrz. Wtedy wstąpił we mnie duch Mitzi-dummkolerki. Ryczałem, że jeżeli do 5 minut nie przyjdzie chirurg, zdemoluję całą budę. I ryczałem tak skutecznie, że istotnie w parę minut znaleźli się eskulapowie in gremio.

Poczciwe Szarytki pomyślały: kto tak ryczy i tak grozi, ten pewnie dobrze zapłaci, a jakież abnegat, nawet w habicie, oprze się dźwiękowi złota!? — Eskulapowie radzili — kręcili głowami i — co gorzej — moją łapą. Uradzili ostatecznie, że trzeba mnie uśpić, gdyż operacja będzie długa i skomplikowana, ze względu na pourywane ścięgna, „wyszłe“ stawy ect.

Ba — uśpić!!! nie tak to łatwo takie twarde bydlę uśpić!! Położyli mnie na jakiś blat, poprzy-

wiązywali nogi i zakonniczka kapnęła mi na nos chloroformu, jak panience, poczem z trjumpfem oświadczyła lekarzowi, że już. Energicznie odrzekłem, że wcale nie już. Nie śpię. Wtedy szatan podszeptał zakonniczce, ku własnej jej zgubie pomysł, aby mi kazała śpiewać.

Śpiewać to śpiewać. Myślałem długo co wybrać, aby z mego małowocenzuralnego repertuaru zaprodukować coś, od czegooby szlag na miejscu nie trafił osobę duchowną. Wybór był trudny — ale ostatecznie, najpiękniejszym barytonem, zaczęłam najskromniejszą moją pieśń:

*A kiedy nie potrafisz,
to nie pchaj się na afisz...*

Żle. Coś brzękło, dźwiękło i zakonniczka chlupnęła mi gniewnie z pół litra chloroformu na nos. Zachłysnąłem się i próbuję z innej beczki:

Moja lubka, daj mi dziubka...

Jeszcze gorzej. Nie wiem dlaczego, ale znowu się nie podobał ten śliczny skądinąd refren, bo zakonniczka zgrzytnęła zębami i lunęła taką porcję narkotyku, że słonby wyzionął ducha. Zamroczyło mnie na chwilę, ale, myślę sobie wcale przytomnie: może w obcym języku wypadnie produkcja znośniej? bo to zakonniczka słów nie rozumie, a upoi ją wdzięczna melodia i wszystko

będzie w porządku. Inaczej mnie dusza pobożna zadusi. Walę więc z przejęciem, że Kiepura siadłby z zadrości na podłogę, jako że te tenory są zawistne:

Zaszoł student w publicznyj dom...

Koniec świata!!! Coś aż jęknęło za mną i tym razem załała mnie fala eteru, tak dokumentnie, że zaniemówilem na amen. Dwie i pół godziny trwało zestawienie ręki, w ramieniu i w łokciu. Na drugi dzień, obarczony przestrogią lekarza aby leżeć najmniej ze dwa tygodnie, spokojnie, i żegnany złowrogimi spojrzeniami SS. Szarytek, których nawet suta zapłata z mojej strony nie przebłagała i którym niech Bóg przebaczy, że się na moim talencie śpiewackim nie poznały — czmychnąłem ze szpitala. (Pewnie do dziś w rocznicę kropią tam po mnie salę operacyjną święconą wodą...).

Na trzeci dzień, z ręką na temblaku, poprowadziłem Mitzi na tą samą przeszkodę, zaś wieczorem tańczyłem na balu. Rękę mi zestawiono dobrze, ale w fechtunku, w strzelaniu z pistoletu, czy nawet z bata, robi mi ona stale nieprzyjemne siurpryzy: potrafi najniespodziewaniej wyskoczyć z zawiasów, sprawiając ból niedowytrzymania. Miałem później kilka pojedynków w życiu, na pałasze i zawsze szczęśliwie posiekałem moich przeciwników, ale — gdyby oni

wiedzieli, jak mało nieraz brakowało do tego, aby mi nagle szabla zwisała wraz z ręką! Jeszcze jedno machnięcie i koniec przedstawienia. Cała więc rzecz polegała na tem aby... raz, a dobrze.

Wtedy jednak na balu, zawdzięczałem temu temblakowi wiele sukcesów u pięknych, rozczulających się pań, a później wzmiankę w ek. dokumentach asenterunkowych: DIENSTUNFAHIG (niezdolny do służby).

* * *

Ile razy myślę o Mitzi, przypomina mi się jeden mój znajomy, kresowiec. Opowiadał, że jechał w konkury do jakiejś panny.

— No i oświadczyłeś się?

— Nie.

— Czemu? Brzydka była? stara?

— Gdzie brzydka! — śpiewa mój kresowiec. — Ładna była panna, młoda panna, zgrabna panna, bogata, ale... ściерwo.

Otóż tak jest z Mitzi. Piękna była, rosła była, ale ściерwo. Może nieeleganckie określenie, ale rzecz doskonale obrazujące.

Sprzedalem ją. Nabył ją pan Romanowski i ponoś wielkie na niej święcił trjumfy, na 100 kilometrowych dystansach.

Dla ludzi obojętna, Mitzi, nienawidziła koni,

i poza wiedeńskim bankierem, miała kilka czworonogów na sumieniu, zatłuczonych kopytami. Jedną kochała tylko Lalkę, klaczusię niewiadomego pochodzenia, której poświęcam na dalszych kartach tej książki, cały ustęp. Dla tej miała nawet uśmiech — bo pozatem była zawsze zimna i ponura, jak osoba, która przeżyła dramat wstrząsający.

Co za dramat przeżyła? niewiadomo. Chyba nieopłakiwała zabitego wiedeńskiego bankiera, ani zatłuczonych towarzyszy przygodnych, stajennych, ani tego, że dzięki niej nie przelałem krwi za cesarza Franciszka Józefa.

IV. NIEJASNE PRZYKAZANIE

Jest takie jedno przykazanie, dość dla mnie niezrozumiałe:

— Niepożądaj żony bliźniego twego, ani domu, ani służebnicy jego, ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest...

bo pokażcie mi takiego osła, któryby pożałował osła!... Chyba nikt. Żona bliźniego — ewentualnie jego służebnica — hm! to już inna sprawa, albo na ten przykład koń? — ale osioł? ale wół? niepojęte!...

Konia to raz, wyznaje, pożałowałem całą duszą. Była to klacz sąsiada, p. Ziętarskiego — szczyt piękna i szczyt wszelkich zalet. Rodziła się po

ENEO od NANY w Skorykach, 1902 roku, skarogniada, łysa, prawie pełnej krwi (jedna babka irlenderka importowana), miała wzrostu 172, budowę huntera, szyję łabędzia i głowę araba, malutką i suchą. Oko płomienne jak u ogiera, strzeliste nogi. Słowem wzór urody końskiej i schemat wzorowej jego anatomji. Marzyłem o niej wprost chorobliwie i — marzenia się spełniły. IZA przeszła do mojej stajni.

Miała już za sobą wyścigową swoją karierę, dość chlubną — u mnie miała służyć wyłącznie do parady i polowań z chartami, do których zaraz po pierwszym debiucie tak się zapaliła, iż, niekierowana i niezachęcana łydką, szła z miejsca za psami, skoro te ruszały w gon. Czasem bywało, że bez psów chciała gnać, ujrzawszy biegnącego szaraka. Żadnych przeszkód wtedy dla niej nie było — rowy — hollwegi, bagna, były dla nas niewinną igraszką. Iza była mniemania, że tam, gdzie przeszedł zając, powinny przejść psy, a gdzie przeszły psy, tam powinniśmy przejść my, ona i ja. Ileż to razy nurzaliśmy się po uszy w bagnie! Ile razy przezołkowali siarczyście! Nic jej nie peszyło, ani odbierało rycerskiego serca.

W jednym kierunku, dzięki przypadkowi, doszliśmy do perfekcji. Oto pomknął raz zając spod nóg Izy i psów, tuż pod stromym nasypem kolejowym, wysokim 12 — 15 metrów. Zając oczywiście kopnął się na zbocze ku górze, ku torowi

i zniknął nam z oczu. Poklepałem Izę po szyji — znak nasz masoński, kiedy czegoś fantastycznego od niej wymagałem i dałem jej delikatnie znać łydkami:

— Ano, Izuniu, spóbuje! Gramolmy się na ten zajęczy Giewont...

Iza lekko zastrzygła uszami i ruszyła bez namysłu. Chwyciła żwirowy grunt pod kopyta i, widząc, że nie da rady, ukłękła i na kolanach, błyskawicznymi rzutami, znalazła się na górze. Z drugiej strony toru był taki sam zjazd z pieca na łeb — znowu bez namysłu runęła w dół, cudownie się ześlizgując jak na bobslejach. Zając przepadł, ale od tego dnia naszą pasją były tak zwane Rutschbahny, zjazdy i wjazdy. Doszliśmy do wprawy cyrkowej i imponowaliśmy wszystkim na wszystkich par forcach i cross countrach.

Djabli brali nieraz doborową kalwakadę, która stawała nagle przed murem nieprzebytym, z piachu, żwiru, czy granitu i musiała je okrażać, a my, Iza i ja, lekko i łatwo dostawaliśmy się prostopadle w górę i w dół. I nie tylko znała te cyrkowe sztuczki, ale była przytem przedziwnie szybka i wytrzymała. Nieraz jeden gnaliśmy za zającem w licznej towarzystwie i kończyło się na tem, że z całego towarzystwa, z kilku smyczy chartów, zostawało 5 stworzeń: dwa charty, zając, Iza i ja. Poczem wszystko było ledwie żywe, a Iza wracała świeża i gotowa do nowego popisu.

Pamiętają te popisy na Podolu PP. Kopczyńscy, Sochanikowie, Schätzlowie...

Raz po takim warjackim polowaniu w Bor-kach Wielkich, dostałem z domu telegram, że moja obecność jest konieczna tego samego dnia w domu. Nie wiele myśląc, kazałem siodłać i wyruszyłem w pięć koni o godzinie 5-ej popoł. — ja naturalnie na Izie. Kłus galop — kłus galop — a kilka razy tylko zsiadanie i prowadzenie koni przy pysku. Przerąbaliśmy prawie 80 kilometrów i nie tylko, że o godzinie 10-ej wieczór stałem już przed gankiem w Strutynie, ale jeszcze ponadto na ostatnich 5 kilometrach, urządziłem wyścig. Prosta rzecz, że Iza zdystansowała towarzyszy — (dwa były wśród nich folbluty! —) i przyszła sucha, świeża, zadowolona, pokryta pajęczyną własnych żył i babiego lata.

Ta wzorowa klacz, wielka dama, o sierści lśniącej, skórze cieńkiej jak atlas, była wysoce nerwowa i poza mną nieznosiła żadnego jeźdźca. Na fałszywy ruch łydka, na ciężką rękę reagowała dziko i z furją. Siadł na nią raz Witold Górka, mój kolega, brat niefortunnego „pogromcy“ sieńkiewiczowskiego — i jeszcze się dobrze nie usadowił, a już Iza skoczyła w bok, wyprostowała się jak świeca i zwała go z siodła. W czasie inwazji rosyjskiej, podczas której zakwaterowana była u mnie sotnia kozaków dońskich, jeden z oficerów, okrzyczanych przez nich za znakomitą jeździecką, wybłagał u mnie przejażdżkę na

Izie. Niechętnie zezwoliłem, zresztą w niepłonnej nadziei, że rozkosz ta będzie trwała niezwykle krótko. I istotnie, ledwo jej dosiadł, zaiskrzyły się oczy kobyły, ogromne i wściekłe, zatrząsła się nerwowo i urządziła tak niesamowite harce, iż mój jeździec znalazł się na matce ziemi, literalnie rozplaszczony. Wstał skonfudowany i mruknął:

— Czort' ne łoszad...

Ani spojrzałem na niego, bo musiałem długo przeproszać wzburzoną Izę i tłumaczyć jej, że to była tylko głupia próba, żart, bez chęci obrażenia jej. Iza zrozumiała, oparła o moje ramię piękny łeb i zdawała się mówić ognistymi oczami:

— No dobrze, dobrze, daruję ci, ale niech to będzie ostatni raz... nie sadzaj na mnie kacapów!

V. PEDICURE I INNE ZMARTWIENIA

Sądny dzień nastawał w stajni, kiedy przychodziło kuć Izę za tylne nogi. Od wczesnego rana furman, chłopcy stajenni i kowal, chodzili zafrasowani, postępując z nogi na nogę i skrobiąc się w głowę. Iza nienawidziła pedicure. Awersja ta szła crescendo — aż w końcu pewnego razu doszło do punktu kulminacyjnego, bo wpadł do mnie furman, utyłany, obsmarowany:

— Przepadło! Iza kuć się nieda i koniec. Sam cysarz, sam papa rymski nie poradzi...

Nie spróbowałem dostojnej interwencji cesarza

ani papieża, tylko sam poszedłem do niej, do boksu. Spojrzała na mnie, jeszcze gniewna na tamtych, ale, już ucieszona moją obecnością. Poklepałem ją łagodnie, pocałowałem w chrapy, nakarmiłem cukrem i spytałem, czy przypadkowo nie zwarjowała?

— Kujcie! — rzekłem. Furman Karol i kowal, chłopcy na schwał, wzięły ją za nogę. Jeszcze się nie obejrzałem, a już leżeli obaj w przeciwnym, pustym boksie na sianie, odrzuceni całą siłą jak piłki. Wątpię, czy nasza świetna Konopacka rzucała kiedy tak dyskiem. Znowu poklepałem Izę, powiedziałem jej parę słów, tylko nam obojgu zrozumiałych i wziąłem za tylną nogę.

Zbaraniała służba. Iza stała jak zamurowana. Od tej daty, musiałem zwsze asystować przy jej przekuwaniu, a kiedy byłem nieobecny w domu, żadna siła przyrodzona i nadprzyrodzona, nie była w stanie podkuć kobyły na tylne nogi. Chłopcy koziółkowały jak gruszki, a z boksu leciały drzazgi. Czego się dziwić?!? Grand dama ma zawsze swego stałego fryzjera. ma swego manikużystę — byle łachudra nie śmie tknąć arystokratycznej główki, czy łapeczki.

Czytałem kiedyś, że podobno etykieta dworu madryckiego niepozwalala królowej hiszpańskiej pokazywać ludowi nóg i, kiedy raz, jakiś średnio-wieczny potentat przysłał królowej parę pończoch w darze — ochmistrz dworu wyłał pana

posła za drzwi, razem z pończochami, oświadczając oschle:

— Wiedz asan, że królowe hiszpańskie niemają nóg...

Tak widocznie było z Izą. Uważała, że etykieta wymaga, aby ona dla plebsu nie miała nóg. Miała je tylko dla mnie, cienkie, a stalowe i niepokonane nigdy.

VI. TRAKTATY MIEDZYNARODOWE, A IWAN KONSTANTYNOWICZ

Podobna perfekcja, nic dziwnego że wzbudzała apetyty. Toteż po pewnym czasie, spokojni dotąd kozacy dońscy, zaczęli się nagle Izą interesować. Zwłaszcza kiedy się ich essauł upił — a zdarzało się to dwa razy nieprzymierzając na dobę — pożądanie Izy przechodziło u niego w paroksyzm. Pijaki, chore na delirium tremens, widzą podobno w halucynacjach wszędzie wokół siebie, białe my-szy i białe słonie. Essauł widział Izę.

Zaczął od pieniędzy. Dawał mi setki rubli za nią, potem tysiące, a w miarę wypitych kieliszków, zwiększała się suma, aż wreszcie wpadł na inny, pijacki pomysł. Późną nocą słyszę raz trom-melfeuer w parku, — kanonadę, jakby 5 armji nieprzyjacielskich rozgrywało tu w Strutynie losy Europy. Wychodzę na taras — kozacy biegają w tyralierze po trawnikach i alejach, grzmiać

ostremi nabojami gdzie popadło. Konary z trzaskiem z drzew lecą, a echo gra. Ki djabel?! patrol jakiś austriacki się pokazał, czy co? Lecz wtacza się na taras sam essaul, oczywiście na nogach z galarety, a z tarasu idzie do jadalni.

— A wam szczo, Iwanie Konstantynowiczu?!— pytam się, z rusińska po rosyjsku.

Essaul żegna się najpierw trzykrotnie przed portretem jakiejś mojej prababki, którą stale po pijanemu brał za Ikonę, niezważając na jej — święć Panie nad jej duszą — nieco ryzykowny dekolt i na pieska jak byk pod pachą, czego zazwyczaj o ile wiem, na świętych obrazkach się nie widuje. Potem zaczyna mi długo, acz trochę niewyraźnie klarować, że sukinsyn Italjaniec, wypowiedział wojnę sukinsynowi Germańcowi i że dlatego kazał sotni strzelać na wiwat.

— Masz babo placek! Ale poco o drugiej w nocy i poco ostrymi nabojami?!?

— Izwienit, Jurij Francowicz, ale jej Bohu, to pomyłka. Z radości patryjotycznej pomyliły się mołodcom naboje, ale za chwilę zobaczycie, co wam ofiaruję — ja, essaul takiej a takiej sotni kozaków dońskich.

Myślałem, że pijanica skończy na tej kanonadzie — zresztą spóźnionej coś o trzy miesiące blisko, gdyż przed trzema miesiącami już, o tych Italjańcach sukinsynach mi rozповідаł — ale widać, nie było mi przeznaczone spać tej nocy, bo w godzinę później słyszę piekielne kwiki, rzenie

końskie, łomot kopyt i wrzaski kozackie. Wychodzę znowu na podwórze i myślę sobie, że widać essaul kazał wytoczyć jakieś ukryte beczki z samogonką i teraz, nietylko on, ale cała sotnia urżnięta w pień. Bo oto stoi na dziedzińcu kilkanaście ogierów, trzymanyh przy pysku, w świetle pochodni. Bractwo to gryzie się nawzajem, kwiczy, rży i pierze kopytami.

— Iwanie Konstantynowiczu, czy to wszystko jeszcze z tej racji, że Italjańce zdradziły Austrijców?!

Essaul, czerwony jak piwonja, a chwiejący się jak płomień na wietrze, podchodzi uroczyście do mnie.

— Naplewat' na Italjańców!... Wszystkie eto ogiery macie do wyboru, — wy, Jurij Francowicz, za waszą kobylę. Wybierajcie dwa, wybierajcie, lubczyku, sześć, no! trastia waszu mordowała! Bierzcie wszystkie, jak tu stoją!

W ferworze pijackim byłby mi całe Imperium rosyjskie niewątpliwie ofiarował. Nie chcąc drażnić pijaka, mówię:

— Dziękuję wam z serca, Iwanie Konstantynowiczu! Teraz ciemno, dobrze nie widać. Połóżmy się spać, a jutro pogadamy.

Ale to „jutro“ przedstawiało mi się gorzej. Bydlę się uprze i w końcu wykradną mi moją klacz. Wolałbym, aby mi cały folwark puścili z dymem, niż to. Co robić? Dzień, dwa, tydzień, będę się wykręcał, ale w końcu kozaków mogą ruszyć

z kwater na front, mogą się cofnąć armje, bo i tak przebakują już o ofenzywie pruskiej, a wtedy przepadła moja Iza! Izę więc obstawiłem wartą zaufanych ludzi, później przeniosłem do oranżerii i sam z nią spałem, a kiedy i ten schówek wykryto, wprowadziłem ją do pokoju obok mojej sypialni. Na nic! I ten schówek wykryli. Nic nikomu tedy nie mówiąc, pogałem na niej świtem, 5 klm. do Złoczowa. Może tu znajdę tajemne i bezpieczne locum?

VII. ZAMUROWANE KONIE, CHININA I CYNAMON

Jakoż i znalazłem. Przez usługnych i słono opłaconych żydków, dowiedziałem się, że u jednego starozakonnego kamienicznika, jest ogromna piwnica, o jednym tylko tajnem wejściu od strony mieszkania. W mig zatem przeprowadzam tranzakcję.

— Jakże pan dziedzic, po tak wązkich schodach sprowadzi konia do lochu?!? Uj! to niemożliwe...

Dla Izy było wszystko „możliwe“, więc w nocy, kołując i klucząc, wprowadziłem ją do kamienicy, następnie spokojnie i gładko do piwnicy, a za nią poszło już ulegle osiem innych koni, najlepszych, wraz z zapasem siana i owsa. Byłem żydków pewny, zbyt ich dobrze płaciłem za faty-

gę i jako sublokator! Wejście do piwnicy zawiesili jakimś pięknym dywanem w zielono - czerwone kwiaty — essaula okłamałem, że konie sprzedalem, a Izę dałem znajomemu generałowi do przechowania przed napierającymi już Germancami i wszystko byłoby dobrze, gdyby djabli nie nanieśli Icka Cynamona.

Rosjanie kopali wtedy szanice wokół miasta i spędzali do tej roboty złoczowskich obywateli. Przy tej okazji, spodobał się im ogromnie jeden obywatel, mianowicie ów właśnie Icek Cynamon. Mój pech. O ile Icek Cynamon bowiem miał wielki sukces u moskali, o tyle jemu Moskale się nie podobali, a zwłaszcza perspektywa kopania szaniców, która obfitowała nieraz w dramatyczne momenty.

I tak raz np. wyznaczono jednej kompanji żydków złoczowskich pewną ilość metrów do wykopania, oczywiście jaknajgłębszych, Żydki poparpały zlekka ziemię, i — dufne w napiwki dawane na prawo i lewo, przychodzą do pana korneta, dowodzącego robotami.

— Panie lejtnant, już.

Lejtnant spojrzał nieufnie.

— Co „już“?

— Jaki co?! Szanice panie lejtnant. Fertig.

— Tak? — Hm... ale czy głębokość taka jak otrzymaliście nakaz?

— Co znaczy nakazu?! Dwa razy jak nakazu! Dziesięć razy jak nakazu! Jak szczęścia życzy-

my panu lejtnantowi, że cała armja rosyjska mogłaby się schować do naszego szańca i ani szladu...

Kręci głową kornet, niebardzo wierząc, aby żydki tak szybko robotę wykonały. Idzie zatem i widzi, że na przestrzeni coprawda jakich 20 metrów, ale nie głębiej jak na 20 centymetrów, zruszono ziemię. Dorosły człowiek, gdyby stanął w tym rowku, to schowa się najwyżej po kolana. Kornet wszystko obejrzał i powiada grzecznie:

— Dobrze, bardzo dobrze. Lecz teraz wysła ustawą, że każdy szaniec mamy wypróbować co do głębokości, więc zaraz zrobimy próbę...

— Jaka próba, panie lejtnant?! na co próba?! — pytają żydki nieco zaniepokojone.

— Ano tak robimy, że kto kopał, ten wchodzi do szańców swoich i dekuje się, a na 50 kroków ustawiamy kompanję karabinów maszynowych i strzelamy. Jak nikogo nie trafi (dodaje z lekką ironją kornet) to znak, że szance są dość głębokie.

— Jakto?! zadlaczego?!

— Nuże! — włożyć patalachy! — zezłościł się nagle kornet sadysta.

Powstał lament piekielny:

— Panie lejtnant! złociuchny panie lejtnant! my jeszcze kapuchnę będziemy kopać...

Nic tedy dziwnego, że wobec takich ponurych wieści, nasz Icek Cynamon wcale się nie kwapił do tych szańców, toteż kiedy zaczęli go szukać i kiedy w końcu znaleźli, wyrwał się z rąk poli-

cjanta i jak w dym, do swego kuzyna (oni wszyscy kuzynowie) do piwnicy, renomowanej widocznie jako reduta niedozdobycia. Za nim puścił się w pogoń policjant jeden i drugi i nagle wszystko zamarło w zdumieniu. W piwnicy stało osiem koni...

Kiedy mnie o tem zameldowano, skłamałem Icka Cynamona do czterdziestego pokolenia, a trzeba wiedzieć, że od wszystkich przechodzących przez moje terytorja armji, czerpałem co miały najlepszego, mianowicie kolekcję wyzwisk, od których włosy stawały na głowie. Stanęły też włosy na głowie żydkom, ale cóż trzeba było iść do komandira i tłumaczyć się. Zablagowałem go Giermańcami, przed którymi schowałem konie. Czy uwierzył? nie mam pojęcia, ale dobrodusze pijaczysko oddało mi konie. Gorzej było z essaulem, któremu musiałem nieprzyjemnie się wyłgiwać. Całe szczęście, że srodze, (jak twierdził), zmartwiony klęskami armji rosyjskiej, pił za czterech i rzadko kiedy rozumiał co się do niego mówi. Jeździł tylko powozem, bo z konia leciał — a na ławeczce przedniej sadzał kozaka z harmonijką.

I tak różni Kamarińskawo, giermańcom na pohybel.

W każdym razie niebezpieczeństwo z Izą nie minęło, owszem zaostrzyło się. Mnie więc, że mogłem się oko w oko spotkać z tą światobliwą i niemuzyczną zakonniczką Szarytką, którą tak zgorszyłem przed dwoma laty swoim repertuarem

wokalnym w przemyskim szpitalu — udałem się ufnie do ich złoczowskiego szpitala, położonego o kilometr za miastem.

Chytrze im przypomniawszy, że ratowałem Zgromadzenie tu i ówdzie mąką z mego młyna i kartoflami, co wymagałoby... ewentualnego rewanżu — poprosiłem o przechowanie Izy. Przy najmniej Izy. Najpierw zakonniczki przeżegnały się, a potem zgodziły, a nawet same wyścieliły plandekami i dywanami (dla zagłuszenia kopyt), jeden pokój na I piętrze, na oddziale epidemicznym, chwilowo pustym.

Późną i ciemną nocą, ruszyłem en carrièrę na Izę do Złoczowa. Tknęło mnie coś w połowie drogi — obejrzałem się — a za mną, w odległości 200 — 300 metrów... kozacy! Śledzą — niema co! Niewyraźnie mi się zrobiło, bo przestrzeń 5 kilometrów do Złoczowa była zbyt krótką, aby ich należycie zdystansować, tembardziej, że przez miasto nie sposób rypać galopem. Bywało, że i przez miasto ongiś rypało się galopem, stroną niebrukowaną — bywało, że klusakami amerykańskimi gnało się aż iskry leciały i wjeżdżało przez ogromne szyby wystawowe (podniesione latem) wprost do kawiarni, gdzie konie dostawały cukru, a ja koniak. i ruszało się w dalszą drogę. Ale teraz przecież chodziło o zatajenie Izy, a nie o zwrócenie na nią uwagi całego miasta. Bo można sobie wyobrazić, co by było, gdybym tem tempem przegnał środ-

kiem miasta ku szpitalowi, a za mną dońskie kozaki.

Miałem jeszcze jedną drogę, lecz ta była prawie niedoprzebycia, szczególnie w noc ciemną: dwie stare rozwalone cegielnie, z jarami, pieczarami, zwałami kamieni — dalej bagno — potem, dość szeroko tu płynąca Złoczówka, bardzo błotnista i znowu bagno. Od czegoż jednak sokole oczy, sarnie nogi i mądrość mojej Izy? Poklepałem ją po szyi: no Izuniu! próbujemy! nie damy się...

Nie daliśmy się. Wyścig ostatni w życiu rozegrała Iza tak, jak tylko ona jedna na świecie potrafiła: przebiegła wertepy starych cegielni, przefrunęła bagno, przeskoczyła lekko rzekę... Kozacy stanęli bezradnie i nie próbowali nawet nas ścigać. Goniły mnie tylko chwilę ich soczyste przekleństwa, kwestjonujące cześć całej linii żeńskiej mego rodu oraz rodu mojej kobyły, a my tymczasem, wpadliśmy, ona i ja, cwałem na podwórze szpitala. Cicho wprowadziłem Izę na kurytarz, a następnie schodami na I piętro.

Jakaż Anna Pawłowna potrafiła tak wchodzić, jak ona, po schodach? Chyba ten pełnej krwi Kohenlańczyk biały, którego przywiózł z Arabji hr. Juliusz Dzieduszycki i którego brał ze sobą do re-sursowej łoży na pierwsze piętro, do teatru lwowskiego — ot pan!!!

Dwa tygodnie siedziała tam Iza zamknięta, zachowująca się jak markiza w buduarze, cicho i bezszelestnie, jakby rozumiała o co chodzi.

Wszystkie Siostry, z przełożoną, matką Cymbulską na czele, zakochane były w pięknym stworzeniu i przez to dla mnie bardzo uprzejme. Darowałem im wspaniałomyślnie, że jedna z nich przed laty niepoznała się na moich śpiewackich talentach...

Niebawem w tym samym pokoju co Iza, kryłem się ja znowu przed pogonią rebeljantów „ukraińskich“. Był to, jak już wspomniałem, oddział epidemiczny. Kropnąłem sobie cztery proszki chininy na które reaguję zawsze szalonym wypryskiem skórny, gorączką, oraz czarującym pomidorowym zabarwieniem i udawałem chorego na tyfus plamisty. Kilkakrotnie wpadały patrole bandyckie ale widząc moją fizysy, podobną do pekeflejszu, zmiatały heroje pośpiesznie. I tak dwukrotnie ratowała mnie ta izba u SS. Szarytek złoczowskich.

VIII. ŚMIERĆ

Odplynęła armja rosyjska, przyszły znowu Austrjaci i Niemcy. Iza skaleczyła się w nogę — podleczył ją niemiecki weterynarz i pasła się po zagonach, zoranych kulami, z nogą opuchłą, chodząc za mną jak cień, na spacerach. Rozumieliśmy oboje, że niema co kryć — jest źle. Skończyły się nasze trjumfy, nasze galopy, nasze polowania, nasze przygody... Kres życia Izy zbliżał się raptownie, więc nie żdziwiłem się wcale, kiedy wjeżdżając raz na folwark, usłyszałem głuchy, rozdzie-

rający jęk od strony stajen i ujrzałem biegnących tam ludzi.

— Iza!!!

Naturalnie ona. Umierała jak człowiek, z jakimś majestatycznym, a straszliwym smutkiem. Oczu jej żegnających, nigdy nie zapomnę — choć mnie tyle rzeczy od tego czasu pożegnało. Męczyła się.— Trzeba zaryzykować zastrzyk adrenaliny. Może uratuje, a może zabije jak piorun.

Zabił jak piorun.

Spojrzała na mnie raz jeszcze, wkładając w to spojrzenie całą otchłań wiernego, szlachetnego jak brylant uczucia, jakby mówiąc: nie trudź się, kochany!!! i wyprężyła się jak struna, bez jęku już. Staliśmy: jeniec jeden Litwin, jeden rusin furman i ja i — jak powiada generał Składkowski — „*plakaliśmy bez śpasu, przytuleni do ściany*“ i wpa-
trzeni w stygnącą Izę.

Dziś zostało mi tylko jej kopyto, oprawne w srebro, z krótkim napisem:

IZA

po Eneo od Nany, zginęła I.7. 1918 r. w Strutynie.

IX

PANNY MĄDRE I PANNY GŁUPIE

Jestem wychowankiem OO. Jezuitów w Chyrowie. Może minęła ich już ta manja, o której tu wspomnę, ale za moich czasów, nie wiem dlaczego? wielki nacisk kładli ojcaszkowie na ową ewangeliczną przypowieść o pannach mądrych i głupich.

Ani w ząb do dziś nie rozumiem, o co chodziło ewangeliji i czcigodnym Ojczulkom — tyle tylko, że w pamięć mi się wryły te panny. Byłbym może w końcu datarł do sensu owej skomplikowanej paraboli do celu faszerowania nas, 10-letnich młokosów temi pannami, ale — po dwóch zaledwie latach, wyleciałem z Chyrowa jak z procy.

Pamiętam, że kazano mi się modlić coś 18 razy na dobę, i że zadepeszowano po mego ojca, aby mnie zabrał. Ojciec przyjechawszy, zapytał surowo: za co cię wyleli? na co odpowiedziałem oczywiście tak, jak się zawsze w podobnych okolicznościach odpowiada:

— Za nic, tatku.

Była oto jakaś żywsza wymiana zdań, między mną a księdzem rektorem i ja uznałem w pewnej

chwili, że broniąc jakiejs tezy, trzeba ją obronić, więc w dyskusji użyłem nieco namacalnego argumentu, mianowicie cisnąłem paką niesionych książek księdzu rektorowi w żołądek. Żołądek księdza rektora nie był właściwie moim celem, ale jego dość wypukła linja znajdowała się akurat na linji mego rzutu — czy jestem temu winien? Gdybym był mniejszy, trafiłby w podłogę — a gdyby większy, książki przeleciałyby nad tonzurą księdza rektora i nie byłoby żadnego kramu. Jasne i proste zagadnienie natury balistycznej, ale nie penitencjarnej.

Ksiądz rektor jednak inaczej się zapatrywał na topograficzny i balistyczny przebieg incydentu — upierał się przy żołądku i zadepeszował, jak rzekłem, po ojca. Tyle pamiętam z Chyrowa. No i o tych pannach. Miałem je odnaleźć, te mądre i te głupie, te sprytne i te idjotyczne — znacznie później — w koniach.

Po biografji Izy, wielkie damy, o niebywalej inteligencji i grandezzy, niemającej równej sobie, o sercu nieustraszonem i chrobrem — przyjdzie mi teraz mówić o skończonym hebesie.

W roku 1913 pokazano mi w krytej rajtszuli 9 pułku dragonów w Żółkwi, konia pełnej krwi: WIEHEIST. Widzę, że rusza się dobrze — dwa wyścigi jakieś ma wygrane za sobą — tanio za niego żądają, więc myślę: od przybytku głowa nie boli i — kupiłem go. Teraz dopiero miała mnie rozboleć głowa! Takiej łamagi, takiego hebesa,

takiego drania, jak Wieheisst, nie miałem w stajni przez cały ciąg żywota, mimo że conajmniej 200 koni przeszło przez moje boksy. Bił bestja zadem, gryzł przodem, łeb miał jak bania prawosławnej cerkwi — strzelaj w niego! nie nie rozumie — słowem: ubrali mnie. Nawet przysłowie ludowe powiada:

Okpił koniarz koniarza —

to się zdarza —

Przyszło jednak do sądu polubownego,

na którym stanęło,

że okpić jednak trzeba trzeciego...

Spróbujmy krampy w terenie. Ładna historia! Stempa i klusa jako tako, ale skoro zerwałem do galopu — zdechł pies. Nie pyta gdzie i jak, tylko gna przed siebie naoslep i żadna siła nie może tego idjoty zatrzymać, czy skierować gdzie należy. Wpadliśmy raz do bagnistego stawu i omal obaj nie utonęli, bo mnie wciągnął przy ratowaniu. Innym razem zwałił się na niewinnej przeszkodzie i obaj straciliśmy przytomność. Nic nie wiem jak długo leżeliśmy w braterskim uścisku obok siebie — wiem tylko że kiedy odzyskałem zmysły i zobaczyłem habetę leżącą obok mnie jak trup, pomyślałem: zabiła się cholera!... Ale gdzie tam! Potrzęsnałem mu łeb i odrazu się zerwał. I dotąd jeszcze nie wiem, dlaczegośmy zrulowali i dlaczego obaj zemdleli, bo przecież nie się nam nie stała.

Irytował mnie ten koń, toteż z przyjemnością sprzedałem go rotm. Kratochwilowi z 13-go pułku ułanów, znanemu jeźdźcy, uprzedziwszy uczciwie że to djabeł i że nie nadaje się absolutnie do konkursów. Lekko urażony rotmistrz odparł mi:

— Nie bój się przyjacielu! Już ja sobie z nim dam radę i na konkursach...

To „*dawanie sobie rady*“ trwało akurat dwa dni, bo trzeciego dnia, odesłał mi Wieheissta z adnotacją że takiego ścierwa jak ten koń, w życiu nie widział a ułan, odprowadzający Wieheissta opowiedział mi, że zaraz pierwszego dnia, koń uciekł z placu ćwiczeń, z rotmistrzem razem do koszar i tu omal go nie rozstrzaskał o jakiś mur. Ponieważ żyłem w wielkiej przyjaźni z 13-ym pułkiem, przyjąłem konia spowrotem.

W międzyczasie znalazł się inny amator na tego cudaka. Oto sprowadził się w moje strony nuworysz, pan R. Uważał, że należy do dobrego tonu być dziedzicem sportsmenem, przyjechał tedy prosić mnie czy nie sprzedałbym mu coś z moich uprzęży, pojazdów, no i koni. Odpowiedziałem, że zaprzęgami i uprzężą nie handluję — na to jest Szlesinger w Wiedniu i zacny Rozdół we Lwowie — ale jednego konia mogę mu odstąpić.

— Przestrzegam pana tylko, panie sąsiedzie, że Wieheisst jest czort, zły i bardzo trudny.

Na to pan R. zapewnił mnie, że jeździ jak sam Zangen, albo Dachowski, Niech mu będzie Da-

chowski. Po paru dniach spotykam jego furmana w mieście, więc pytam:

— Macieju, no i jakże się sprawuje Wieheisst?

— Dobrze, proszę łaski pana dziedzica, tylko, że u nas to cały szpital bez niego. Pan leży potłuczony, panicz leży pobity i chłopak jeden w stajni pogryziony na rzeszoto. Za każdym razem com go osiodłał, koń wracał z pola przez panów, a nawet przez siodła, zdarzało się, bo popręgi popekali.

— W imię Ojca i Syna!... A co robicie z koniem teraz? — śmieje się.

— Konia panie dziedzicu tośmy zamknęli do okratowanego boksa po buhaju, w oborze i bez wierzch rzucamy mu siano. Nikt do niego nie wlezie, za żadne pieniądze, a starszy pan to nawet mówi, że do obory nie wejdzie...

I byłby miał nieszczęsny debiutant-dziedzic do sądneho dnia tą zamurowaną w oborze Aldonę, gdyby nie wojna, wybawicielka ludów. Wobec jej groźnego widma, zbladło nawet widmo Wieheissta. Kupił go jakiś oficerzyna austriacki i ruszył na wojnę. Śmiałem wątpić, czy dużo na tej łamadzie wojował — a nawet przestaję się dziwić, że djabli wzięli Austrię.

X. ICH CESARSKIE MOŚCIE, GEMAJNY I PROSIĘTA

A więc są i takie głupie konie, że żaden kunszt jeździecki, żaden fortel z nimi nie „chyci” — ale

pomiędzy mądrym, a hebesem, jest jeszcze jedna kategorja koni, koń-automat. Zdawałoby się że tylko mu wrzucić 20 groszy do pyska, a on wyrzuci z siebie wszystko, co od niego zażądają. Spokojny, nieskazitelnie posłuszny, dobrze wychowany, dbający jak nakręcony mechanizm o wygranie swego kuranta, słowem precyzyjny, bezduszny i niezawodny jak maszyna — o ile nie przyznamy racji niektórym zwarjowanym automobilistom, którzy twierdzą, że i samochód ma duszę.

Moja MARYŚKA nie miała duszy — była automatem. Żadnych cech indywidualnych, żadnych przejawów własnego ja, woli, chcenia, fantazji, czy ambicji. Ona była martwym odbiciem swoich nauczycieli. Czyniła na rozkaz wszystko bez wahania, ale ani na centymetr więcej, niż to, czego bel-fry nauczyły, a koński *savoir vivre* wymagał.

Kupiłem ją od znanego jeźdźcy, Stefana Dembińskiego, dziś pułkownika, szefa naszej nicejskiej ekipy ect. z dobrych, wytrawnych więc rąk. Siwa Radautzerka, o wybitnym typie garbonosego huntera, była przepiękna w linji i chodzie, bez błędu, ujeżdżona jak marzenie. Wzięła parę nagród na konkursach, ale bez żadnych rekordów, wytrzymała z Izą dystans 95 klm. Borki — Strutyn, ale podczas gdy Iza to robiła sercem i nerwami, Maryśka wykonywała swoje zadanie jak z książki, mechanicznie. Nie wychodziła nigdy z równowagi, nie znać było po niej radości, upojenia czy smutku i gniewu. Zawsze ta sama, impeccable, ele-

gancka, poprawna w każdym calu, zrównoważona, poważna Maryśka.

Dla mnie, podówczas dość młodego, miała ona wartość dużą, ale raczej niesportową. Zupelne inne dawała mi rozkosze Maryśka. Oto piękne panie i panny dobijały się o moje względy, uwarzając za szczyt marzeń otrzymanie Maryśki na jakieś polowanie, czy myśliwski bieg. To był zaszczyt nad zaszczyty dla każdej amazonki na naszym Połolu! Wiedziały, że Maryśka nigdy nie wyłamie, że wykona wszystko co potrzeba i że nic bardziej panience nie będzie do twarzy, jak siwa, śliczna Maryśka pod siodłem.

Raz jedyny zdarzył się tylko jej wypadek, dotychczas niewytłomaczony. Jechał na niej Włodek Schätzel, bo miłym przyjaciółom płci brzydkiej, także ją chętnie pożyczałem. Jechał w licznej kawalkadzie, stempem jak wszyscy — nagle słyszemy za sobą łomot, jakby się kamienica waliła i widzimy Maryskę i Włodka leżących na ziemi. Włodek był zdumiony, bo przecież się ani Maryśka nie potknęła, ani wpadła w żadną dziurę kopytem — nic. Klap i leżeli. Ani jeden muskuł na Maryśce nie drgnął, wstała spokojnie, chłodno, rozważnie i pod Włodkiem poszła dalej. Dziwne stworzenie!

Powtarzam, Maryśka dla innych zgola celów niż sportowe, była przezemnie w głębokości serca cenniona — jako koń bowiem, w którym zawsze szukałem towarzysza, duszy, indywidualności, była mi totalnie obcą. To też kiedy się zjawił rotmistrz

Stertiz i zaproponował kupno Maryśki dla ówczesnego następcy tronu austriackiego, arcyksięcia Karola Habsburga (późniejszego cesarza), bez wielkich namysłów na transakcję się zgodziłem, oraz na cenę 4500 koron.

Maryśka była wymarzoną chyba wierzchowcem dla wszystkich następców tronu i cesarzy. Oni mają inny bezwzględny pogląd na konia niżli my gemajny. Taki stary Franz Jozef np. posiadał klacz chowu p. Hulimki z Małopolski Wschodniej, sławną KAŚKĘ. To była skała nie koń! Stary Franz gwałtownik, kiedy się zeźlił na Frühlingsparade majowej, patrząc na jakąś szczególnie felerowatą defiladę, wbijał biednej Kaśce ostrogi w brzuch bez przerwy. Kaśka spływała krwią, ale ani okiem nie mrugnęła. Mogły szrapnele pod jej kopytami eksplodować, mógł ją nawet szrapnel rozszarpać—padłaby, ale jeszcze padając czekałaby, aby najjaśniejszy Pan zeskoczył i nie okazałaby gniewu, ani przerażenia.

Nauczyli ją, że kiedy stać, to stać — kiedy kłusować to kłusować, a kiedy galopować, to pięknym wahadlowym, skanaszowanym kurtzgalopem płynąć. Nic pozatem. Ona niema myśleć, ani filozofować. Kto inny za nią i dla niej wszystko obmyślił. Ujeżdżał ją ponoś rotmistrz Stefan Sebal, renomowany jeździec menażowy, oficer 13 p. ułanów.

Taką samą akurat jak Kaśka była moja Maryśka. Weale się więc nie zdziwiłem, że miała iść dla arcyksięcia Karola, który chwilowo był dowódcą

pułku w Kołomyi i w tym małowonnym grodzie, z dostojną, młodą małżonką arcyks. Zytą mieszkał czekając awansu z majora na cesarza i z mieszkańca Kołomyi, na lokatora Hofburgu wiedeńskiego. bawili się tymczasem jak mogli, młodzi państwo—dość skromnie raczej.

Arcyksiężna Zyta hodowała naprzykład parę tresowanych prosiąt. Prosięta te były oczkiem w koronowanej głowie przyszłej monarchini austro-węgierskiej — wylęgiwały się na c. k. kanapach i edredonach, aż razu pewnego zachorowały oba. Podobnoś zjadły na jedno posiedzenie 10 bananów, 2 ananasy, krem mandarynkowy i jeden półmisek majonezu z raków. Rozpacz!

Służba gania—ochmistrzyni ręce łamie czy jest jaki weterynarz, dość „antändig“ w Kołomyi?!? Zasadniczo jest, ale akurat bestja nieobecna, bo ciele się krowa na folwarku pana starosty. Telefonują więc, potraciwszy głowy, do lekarza powiatowego na alarm, żeby zaraz, ale sofort, ale dringend, do willi Ich Cesarskich Mości przybył, z narzędziami.

— Jakie narzędzia potrzebne?

— Wszystkie jakie są.

Wyrwany ze słodkiego snu, ale zarazem mile polecchany eskulap, wdziewa frak, lakiery, cylinder, bo etykieta nie pozwala chyba zbliżyć się do tak dostojnych pacjentów w innym stroju i —przeskakując bajory zdradzieckie i kanały, gna do willi arcyksiążęcej, z torbą wypchaną kilkudziesięcio-

ma instrumentami chirurgicznymi, lekarskimi, ginekologicznymi, larynkologicznymi itp.

Serce mu bije jak młotem — marzy mu się jakiś niepowszedni honor, jakieś conajmniej cesarskie cięcie — mój Ty Boże!! Ochmistrzyni, splakana, wypada na jego powitanie i prowadzi śpiesznie do gabinetu. Eskulap przeciera oczy, bo widzi na wspaniałym tureckim tyftyku, wśród jedwabnych poduszek, dwa zestrachane małoletnie prosięta.

Ki djabeł?! nie przebudził się jeszcze z głębokiego snu, czy co? Ale nie. Prosięta jak byk na cesarskiej kanapie i nikt więcej, prócz splakanej ochmistrzyni. Myślę, że zrzędlą trochę mina zacnemu pigularzowi, w każdym razie postawił ponoś na nogi prosięta, dostał za nie królewską renumerację i jakiś wcale wysoki order. Przyjemność psuło mu ino miasto, które się całe trzymało za boki.

Do kolekcji stworzeń tej miłej arcyksiążęcej pary, poszła właśnie i Maryśka. Lecz trzeba pecha. Zanim dojechali do Kołomyi, wybuchła wojna i — nie ujrzałem nigdy więcej, ani mojej Maryśki, ani rotmistrza Stertza, ani co gorsza, moich 4500 koron. Później, internowany przez Austriaków na Węgrzech czytałem, że w czasie koronacji ces. Karola na króla Węgier w Budapeszcie, wjeżdżał on wedle tradycji na piekielny nasyp, w pełnej zbroi i stupudowej koronie na głowie, mieczem żegnając cztery strony świata i — także wedle tradycji—na siwym koniu. Mignęło mi przez myśl czy to aby nie Maryśka — któż bowiem poprawniej od niej, wy-

konalby takie koronacyjne saltomortale, z przed katedry na szkarp—!? Może i Maryśka? nie wiem, choć zapewne musiał to być raczej jakiś długoogoniasty bucefał, z zaplecioną w złote sznury grzywą, czy wedle etykiety — kto ją tam wie? — z kółkiem w nosie.

Maryśka była kusa, kurtowana, strzyżona i obrażająca w dodatku nacjonalistyczne uczucia Madjarów, jako że nie była krwi węgierskiej, paprykowanej, jeno Radautzerka z Bukowiny. Tak czy owak, szczęścia biednemu monarsze nie przyniosła.

XI. DUSZE DZIECIĘCE I OFERMY UŁAŃSKIE

Poza kapryśnemi damami, hebesami, maszynami, są jeszcze konie, o dziecięcej, naiwnej, olśnianej duszy, pogodne, różne, oddane człowiekowi corps et âme, myślące jego myślami, ale inteligentnie, swoiście, karnie i zarazem opiekuńczo.

Takim koniem był EROS. Wychowałem go—co umiał, umiał odemnie. Eros wygrywał ciężkie steple — Eros skakał 180 ctm. — Eros słuchał głosu swego pana i nieszczerzył mu sił, nieraz ponad własne siły. Przytem miał łagodną wyrozumiałość dla wybryków tego pana i jego bzdurnych fantazji. Przyznać zaś trzeba, że choć miałem bezmiar czułości dla moich koni, miewałem też dzikie fantazje,

więc konie, poddające się im, płaciły mi za miłość po królewsku.

Ot taki Eros... Był raz na wiosnę w Brigadschule, w Złoczowie, konkurs całodzienny. Siedziałem od rana na trybunie, przy beczie bowli (wtedy, kiedy bowle — to beczkami)! i śledzę parcoury. Dobrze skaczą — niema co! ale dlaczego ja nie miałbym sprezentować mojej dumy, moich koni!? Mam przecież takie fenomeny jak Iza, jak Eros, taką perfekcję jak Maryśka. Zwracam się więc, pelen zdopingowanego alkoholem animuszu, do generała Ruiza i zapytuję, czy pozwoli mi zaprodukować moje skoczki?

— Aber ja! aber gewiss, Herr von Janowski! aber recht gerne! Nachmitag reiten sie uns Ihre Pferde vor.

Przerwa obiadowa — jadę do Strutyna i każe wprowadzić do koszar złoczowskich tą trójkę. Przebrany do konkursu, lecz niezupełnie wywie-trzały z bowli, wracam na trybuny konkursowe i wracam... do bowli, z oficerami. Patrzę skaczącą wciąż ci i tamci, dobrze, średnio, doskonale. Nagle tubalny wrzask gen. Ruiza:

— Gdzie ten Janowski!?! Donnerweter! Niechaj zaczyna...

Zgłupiałem, bo nad bowlą, na śmierć zapomniałem, że mam brać czynny udział w konkursie. Zbiegam z trybuny po schodach, które mi jakoś idą w zygzak i wsiadam na Erosa. Ruszamy. Co u licha?!? Widzę wciąż dwa łby końskie przed sobą,

a kiedy przychodzi przeszkoda, to dwie przeszkody, jedną obok drugiej!

Mimo wszystko, dzięki przytomności Erosa, skaczymy perfect trzy pierwsze hürdy—przed czwartą pęka mi puśliko. Wściekły klnę — zarzucam jednak i drugie strzemień na siodło przez siebie i jadę już bez strzemion, full pease, na wszystkie przeszkody.

Jadę i jadę — skaczymy co się da, kolejno, bez jednego błędu — ale jakoś mi się wydaje, że zadużo tych hürd, jak na normalny konkurs. Podwójną porcję ustawili, czy co?! Słyszę przytem jakieś krzyki, wołania, a ja nic, tylko jadę. Skacze Eros i tylko on, bo ja staram się jedynie utrzymać równowagę na siodle, bez strzemion będąc, a z bowlą w głowie.

Nareszcie czuję, że dzieje się coś nienormalnego. Jak przez mgłę widzę przed sobą kilku oficerów, machających chustkami do nosa i wrzeszczących, jakby ich ze skóry obdzierali.

Konia paruję i pytam:

— Was ist denn los—!? Verrückt sind sie alle geworden?!? Nagle zjawia się gen Ruiz we własnej osobie:

— Na, Herr von Janowski, widziałem dużo wariatów, ale takiego indjanina, któryby dwa razy robił parcours, z włosiem i pod włos i w dodatku bez strzemion, to pierwszy raz widzę...

I istotnie pokazało się, że objechałem dwukrotnie wszystkie przeszkody i żeby nie żywa baryka-

da z oficerów, byłbym gnał jeszcze dalej, tak, że jeden z poruczników, który tego ze mną od rana przepijał, zaproponował generałowi, czyby mnie nie należało zastrzelić, bo niema mowy, abym przed skończeniem świata przestał. Ruiz nie zaglądał do bowli, więc się na propozycję tej ofiermy nie zgodził.

Eros nie byłby mi odmówił niczego i cała zasługa żeśmy nie leżeli zaraz przy pierwszej hürdzie, to wyłączna jego zasługa — ja raczej przeszkadzałem, siedząc à la cowboy, bez strzemion, głęboko w siodle.

Dobre, posłuszne stworzenie ulegało mi zawsze. Raz w noc ciemną choć oko wykol, zachciało mi się skakać djabelskie barjery. Ani się namyślał Eros — skoczył! Przy drugiej próbie, zwaliliśmy się obaj i długo, ocknąwszy się, szukałem omackiem w trawie i ciemnościach Erosa. Stał i czekał na mnie i nie gniewał się wcale za moje głupie pomysły i nieobliczalne wybryki.

Ublagany, zamieniłem go za klacz TOSKĘ (z dzisiejszym ekspułkownikiem) Jerzym Grobickim. Poszedł Eros na wojnę i nieraz dzięki swej niebywalej szybkości i zdolności skakania, uratował Jerzemu Grobickiemu życie. Nic dziwnego — miał w sobie najszlachetniejszą z szlachetnych krwi: krew boskiej KINCSEM!

XII. FANTASTYCZNA PAMIĘĆ PHANTASTA I CZARNE BRODY

Poznałem też konia, pełnego łagodnej brawury, lecz krzywd nieprzebaczącego. Nie posiadał wyrozumiałości tamtych stworzeń, anielskich i rycerskich.

Po zniszczeniu wojennem, wywędrowałem w Poznańskie. Koniki były — sportsmeny nie omijały moich progów. Raz przyjechał do nas konno plk. Studziński, na og. pełnej krwi PHANTAST, przywiezionym z Niemiec przez nieodżałowanej pamięci Janusza hr. Czarnieckiego.

Stary steepler niemiecki, posiadacz kilku nagród, piękny, rosły, mocny i doskonale ujeżdżony. Pułk. Studziński, dobry jeździec, choć trochę z kozacka, był znany z twardej ręki, twardej jazdy i surowego obchodzenia się ze zwierzętami. Przy jego odjeździe zauważyłem taką scenę: Phantast był, zdaje się, przyzwyczajony, że jeźdźca podsadzano na siodło — co zresztą jest bardzo wskazane, ale pułk. Studziński, właśnie dlatego, że Phantast się tego domagał, uparł się wsiąść bez podsadzania. W chwili, kiedy, już miał nogę w strzemieniu, Phantast przewrócił się na wznak, szarpnięty cugłami i — postawił na swoim: musiano jeźdźcę podsadzić. W drodze powrotnej bez wątpienia pułk. Studziński zapłacił mu za to.

Po pewnym czasie, kupiłem Phantastę. Jeden z milszych moich koni. Posłuszny, karny, dobro-

duszny, rozumny. Brałem na nim udział w dość ciężkich biegach myśliwskich, między innemi, w Biedrusku — rozkosz była na nim jechać!!! Płynął równo jak gondola. Czuło się, że ten koń nic nie zbroi, że weźmie każdą przeszkodę na szerokość i na wysokość, wspinałym, długim spokojnym, elastycznym skokiem. Wszystko było dla niego fraszą i przyjemną, wspólną z jeźdźcem zabawą. Kiedy raz zachciało mi się w Biedrusku zagrać w Polo i pożyczyłem do tego świetnej klaczki anglo-arabki, od jadącej na niej pani M. J. Wielopolskiej — ta ostatnia musiała dosiąść Phantastę, nie mając innego konia pod ręką i — mimo że ogiery zazwyczaj kręcą się i niepokoją w liczniejszej gromadzie koni, mimo że pani M. J. Wielopolska była bardzo średnią amazonką — Phantast szedł bez chimer, jak dziecko.

I takim był zawsze, łagodnym i dobrodusznym. W nocy na oklep wjeżdżałem na nim po schodach do salonu, nie irytował się tem, on, stary steepler, przeznaczony zgoła do innych wyczynów. Kiedy zjechali do nas państwo Stefanowie Colonna Walewscy z Inczewa i, po kolacji mieli samochodem, silnym Fiatem, odjeżdżać do Poznania — postanowiłem ich odprowadzić na Phantastę. Phantast, mimo ciemnej nocy, szedł zrazu hiszpańskim chodem, skanaszowany, z pyskiem wprost w aucie, prawie że na ramieniu ślicznej panny Maliny Walewskiej (nic się bestji nie dziwię!).

Auto dotarłszy do szosy, dało gazu, a ja idjota,

nie chciałem pozostać w tyle i, w niebardzo znanym terenie, w ciemnościach, ścigałem się z maszyną. Phantast trzymał długo tempo i do dziś nie wiem, jakim cudem on wogóle coś widział i w jaki sposób przesadziliśmy dwa rowy, bo co do mnie, oprócz oślepiających reflektorów na szosie i prócz uszów Phantasta klapciastych, nic nie widziałem.

Na Phantaście też przekonałem się, jakim kłamstwem jest tzw. „instynkt“ u koni i jakim nonsensem twierdzenie, że koń nie powoduje się czemś nieodgadnionem, co leży poza wszelką odmianą instynktu. Wytlumaczcie mi np. taką rzecz, pp. Zoopsykologowie:

Jak wyżej wzmiankowałem, dawny właściciel Phantasta, pułk. Studziński miał, oprócz czarnej brody, twardą rękę i obchodził się z każdym koniem ostro i bez pardonu. Długo czas już był u mnie Phantast, dawnego pana swego nie widywał nigdy i czuł się u mnie dobrze, tak dobrze, jak ja z nim. Przyjeżdża raz do mnie Jerzy Hulewicz z Kościanek, sąsiad miły, także koniarz i także posiadacz czarnej, lucyperowej brody. Idziemy do stajni — wyprowadzają konie, znane mu i nieznane, a między innymi Phantasta, którego Hulewicz jeszcze nie widział.

Phantast idzie na trenzli spokojnie, jak zwykle zapatrzony gdzieś w dal przed siebie. My stoimy z boku. Nagle zatrzymuje się Phantast, łypie okiem w stronę Hulewicza, odwraca się gwałtownie i rżnie w niego tylnymi kopytami. Ten odsko-

czył, ale zbaranieliśmy wszyscy, zwłaszcza moi furmani i ja, którzyśmy tego ogiera, jako wzór łagodności znali. Dzieci po jego boksie laziły.

Co się mogło stać?!? I nagle wyjaśnia mi się wszystko, bo słyszę jak Karol furman czule przemawia do rozsądku Phantasta:

— Giez cię ugryzł?!? Że p. Hulewicz ma taką samą czarną brodę, jak twój dawny pan, to zaraz w niego walić kopytami?!? A jeźlibym ja na ten przykład brodę zapuścił, to będzieś we mnie prał?!?

Ach tak, no naturalnie!!! Karol ma rację! więc zwracam się do Hulewicza:

— Jak mnie kochasz, Jerzy, leć do domu i zgol brodę...

— Że co — ?!? dziwi się sąsiad.

— Bo takie czarne brody, ma tylko dwóch ludzi w Poznańskim: ty i plk. Studziński, a że Phantast ma z tym ostatnim stare porachunki i bierze cię za tamtego brodacza, więc zażre cię, jeżeli nie zgolisz brody...

Nie zgolił brody, uparty Poznaniak wtedy, dopiero znacznie później, kiedy dla mnie wszystko to już było nieaktualne i obojętne. Nie mam już Phantasta i nie mam wogóle nic, prócz przyjaciół z czarną brodą i listu miłego, tu i owdzie z zapewnieniem, że się rozumie, tam gdzieś na kresach, moją „sobaczą“ duszę.

KONSKI OGON I LITERACKIE PIÓRO

*Kochanym Pp. Jerzemu i Wandzie
Hulowiczom*

I. NA POZNAŃSKIM PODWÓRKU

Po wielu klęskach i zniszczeniach wojennych,
wywędrowałem do Poznańskiego. Wtedy był u nas
w Polsce ów Drang nach Osten powszechny i nie
pohamowany. Co do mnie, uwieczniła to nawet
dziadowska piosenka o „kupowaniu gruntu“. Za-
pisuję ją tu ku wiecznej tych exodusów pamięci:

*Ślagon się jedyn zamzion na Galicję,
niby ze rację majom Koalicję:
djabła nam ziemia lwowska, tarnopolska,
grunt Wielkopolska!*

*Nalał manierkę, ubrał się w pizamę,
pożegnał pieski, ucałował mamę,
i, uciesony, choć ta kraju niezna,
rusył do Gniezna.*

*Sukał w tabulach, szukał se na mapie,
co za majątek w tamtym kraju złapie,
cy zwie się ładnie, cy tamto i orwo —
znolazł PIANOWO!*

*Mój Boze, jakże pikne jest to imię!
żyć w Pijanowie, cy latem, cy w zimie!
kuzda tam kropla w wódkę się obraca,
nudy nam skraca!*

*Ale psiajucha nie chciał Mniemieć pola,
spseć, ze taka Oberostu wola,
no i Pijanowo odraz skasowali,
az djabli brali!*

*Sukał znów ślagon w całej jeongrajji,
jak z galicyjskiej wyzwoił się mafji,
cy aby jesse znańdzie się godnego*

cośik dla niego?

*Były WÓDCANY i były PSIE WOLE
i nazwy takie, ze az w usach kole,
ode MIENTÓWKI, az po JAZENBINKE...*

lykaj se ślinkę!

*Zaś pieron raptem spadł z jasnego nieba,
dziadka zatchnęło, ze wiencej nie tseba,
bo tsask prask ślagon ŚWIENTE zadatkował,
całkiem zwarzował!*

*Zamiast ratafji, jest święcona woda,
do czegoś złego nie tse sie się broda,
świenci z kamienia wsendzie stoja dzielni —
niema gozelni.*

*Z owieckiej welny robią tam sutanny,
nikt ani spojzy na co młodsze panny,
nigdy już w Świentem nie idzie Veuve Cliquot,
pija się mliko.*

*W Bogu nadzieja, ze znów swe manatki
spakuje ślagon, plując na zadatki
i do Gailcji wróci za cas krótki,
napić się wódki...*

Do Galicji niestety nie wróciłem, natomiast w Świentem istotnie miejsca nie zagrzałem i znalazłem się pod Poznaniem w Sierosławiu, skąd często opierałem się o Przemysłowy gród i jego punkt prycypałowy tj.: hotel Bazar.

Kiedyś, w tymże właśnie poznańskim Bazarze, siedziały prócz mnie przy stole, same literaty: pani M. J. Wielopolska, Stanisława Iwańska i jeden endecki pisarz, p. Edward Ligocki, który bardzo dużo mówił o polityce, a potem tyle samo o literaturze, na co mu rzekłem przy czarnej kawie, cierpliwie słuchając od samych przystawek, że co do polityki, to się na tem nie rozumiem, a co do literatury, to wolę jeden koński ogon, od dziesięciu literackich piór.

Bardzo się ów wzmiankowany p. Ligocki obraził, tak mniej więcej jak ja, gdyby mi ktoś powiedział, że woli jedno pióro literackie, od dziesięciu końskich ogonów.

Każdy sobie rzepkę skrobie, to trudno.

Ale oto tak się stało, że jak opisałem w przedmowie, we mnie samym urodził się poeta i że Naczelnny Redaktor gazety, w której spełniam funkcję raczej podrzędne (patrz przedmowa)! wsadził mi piórko i kazał pisać.

— Przeżegnaj się Wojtku!! powiadam, ale on nie. Pomijając już cierpkie uwagi koleżanki redakcyjnej, pani M. J. Wielopolskiej, która pomyślił Naczelnego, abym kontynuował rozpoczętą pracę literacką, kładzie na karb sezonu ogórkowego „zapychanego byle czym”, uważam coraz bardziej, że literatura była mi przeznaczona. Bo — i jedenaście lat żyłem w stadle małżeńskim z literatką i losy mnie spiknęły przez 10 laty z pewnym literatem — gorzej! bo z pisarzem, malarzem, rzeźbiarzem i po-

znaniakiem w jednej osobie, z Jerzym Hulewiczem.

Oczywiście nie gęsie pióro, ale końskie ogony zbliżyły nas do siebie, bo Jerzy Hulewicz, dawny redaktor ZDROJU, „Apostoł z Kościanek“, jak go nazwał drugi apostoł, poznański proboszcz, ksiądz Cieszyński, okupuje te wszystkie grzechy śmiertelne tem, że jest jak wiadomo bardzo dobrym jeźdźcą, hodowcą folblutów, właścicielem stajni wyścigowej (niedawno z Crève Coeur na czele) — i mężem swojej żony — niemniej było dość dziwne, żeśmy się zbliżyli.

Po jego cudackiej galerji obrazów w Kościankach chodziłem, jak w lesie — co mówię jak w lesie?! W lesie odróżniam z łatwością jawory od grabów, a paprocie od rydzów, a u mego przyjaciela Jerzego, nigdy absolutnie nie wiem, czy dany obraz przedstawia czajnik z herbatą, dostęp do morza, czy Ojca świętego.

Raz nawet wypadła fatalna konfuzja, co prawda niezupełnie z mojej winy. Opowiadał mi Jerzy, że przybył zeszłego roku do Kościanek jego stryj, że stanął przed którymś z obrazów, wielkim na całą ścianę (te kubisty, co jak co, ale płótna sobie nie żałują!) i spytał, co to jest?

— To? To jest Juliusz Słowacki.

— Do djaska! — powiada wystraszony stryj, — a ja myślałem, że to wiatrak.

Kiedy więc wypadło raz, że kazali mi cyceronować jednemu gościowi, przypomniałem sobie daw-

ne objaśnienia Jerzego i objaśniałem sam, zadziwiając fachowo i uczenie, aż do chwili, kiedy mi strzeliło do głowy powtórzyć dykteryjkę ze stryjem i wiatrakiem. Idę więc jak w dym do znajomej ściany, na której wisi ów stumetrowy landsaft i mówię:

— Widzi pan pułkownik — przyjechał raz stryj Hulewicza i stał przed tym portretem Juliusza Słowackiego...

— Z byka spadłeś?! — przerywa mi nagle Jerzy. — Przecież to „Wezemiusz“, a nie żaden Słowacki. Słowackiego tydzień temu przeniosłem na górę...

Zaklinałem potem Jerzego, aby nigdy nie przenoślił w domu obrazów, nie porozumiawszy się ze mną, ale na razie skompromitował mnie na całego. Wtajemniczenie mnie, jak z tego widzimy, w arkan sztuki malarskiej, dawało raczej ujemne wyniki, ale i z literaturą nie było lepiej. Raz — wylegiwałem się w tychże Kościankach, po wspa-
niałem polowaniu (podczas którego pani Wanda Hulewiczowa zatykała okna poduszkami, aby nie było słyhać „jak mordują niewinne stworzenia“, a padało ich po 90 — 100 sztuk w jednym kociołku, przy 10 strzeibach...) Służący wniósł ogromnie obfite śniadanie na tacy i jeszcze obfitszy pęk jakichś podłużnych świstków papieru, zapisanych gęsto maszynowem pismem.

Na śniadanie spojrzałem życzliwie — na papie-

ry jednak dość kwaśno, zwłaszcza kiedy służący dodał:

— Pan dziedzic proszą, żeby pan to przeczytał.

Zaczynam. Czytam, obracam kartkę, zagryzam pumpernikiem i nic nie rozumiem. Znowu czytam, obracam kartkę, popijam kawę i ani w ząb. Ki djabel z tym kubistą?!? Dzwonię więc na służącego i, w braku papieru, piszę na zaprotestowanym wekslu (który dotychczas jest w archiwum Jerzego):

— „*Nic nie rozumiem. Chyba zwarzjorwałeś, albo ja jeszcze nieroytrzeźwiałem od wczoraj. Puknij się w głowę. Janowski*“.

Na to przychodzi dopisek na tymże wekslu:

— „*Pewnieś obracał kartki, idjoto! Czytaj tylko po j e d n e j stronie kartek, bo po drugiej, jest co innego. Hulewicz*“.

Po drugiej stronie, okazało się, był jakiś dawny, zarzucony dramat Jerzego, co w przeplatance z nowelą, dawało oczywista nie prawdopodobne androny. No ale skąd ja się miałem w tem wszystkim połapać?!? Wogóle musiałem być bardzo ostrożny wtym domu, bo wszystko cokolwiek powiedziałem, było przyjmowane z oznakami żdziwienia, względnie wzburzenia. Widzę naprzykład raz pieska, wyciągniętego na kanapie, z obwiązaną głową, obłożonego wokół obrazkami. Najpierw z wyszukaną grzecznością zapytuję:

— Co jest temu foxterrierkowi? był to bowiem

nietyłe foxterrierek, ile mieszanina zdaje się świnki morskiej z królikiem.

— Głowa go boli i musi spokojnie leżeć — odpowiada pani Wanda.

— Przepraszam panią, rozumiem, że Pikuś ma kompres na głowie, skoro go głowa boli, ale do czego służą mu te obrazki?

— Żeby się nie nudził... — odpowiada łagodnie pani Wanda.

— ?!?

Kiedy ochłonawszy po tej informacji, ośmieliłem się zauważyć, że chyba właśnie sztuka malarzka w tym domu przyczyniła się do jego migreny, więc okłady z obrazów lokalnej produkcji przyśpieszą tylko śmierć niewinnego stworzenia — pogniewała się na mnie pani domu nie na żarty.

II. MIESZKANIE W SZAFACH.

Mimo to oszalałem z radości, kiedy, wyładowawszy w Warszawie, ujrzałem lądujących tu pp. Jerzych Hulewiczów. On gospodarował na wsi pod Warszawą — lecz na Polnej, gdzieś pod niebem, miał atelier.

Czegoś równie cudacznego i przyjemnego, w życiu nie widziałem: pusta stodoła, olbrzymia jak plac Unji Lubelskiej. Po środku amfiteatralnie ustawione szafy, drzwiami na zewnątrz. Może 30, może 50 szaf. Wewnątrz stworzonego w ten spo-

sób koła, obite były tyły owych szaf kilimami — (także śmierć nie kilimy, bo kubistyczny melanz projektów Jerzego, z wykonaniem kilimkarni E. Zegadłowicza). Na kilimach porozwieszane, znane nam już obrazy — na szafach rzeźby, na podłodze dywany, z braku miejsca, po kilka, jeden na drugim- i cudaki meble—także pomysły Jerzego. Kanapki jakieś tak ciasne, że ja mimo chudości wrodzonej, zaledwie się w nich mieściłem i ponadto oświetlenie artystyczne, przy którym można sobie było nos rozbić. (Do tego wszystkiego przekonała mnie w końcu jedna kuzynka domu, która wygłosiła zdanie, że:

— Nie szkodzi! — zawsze jest przyjemnie, kiedy ciemno, ciepło i ciasno...).

Jedyna rzecz normalna w tej zwarjowanej ubikacji, to solidna flaszką koniaku na stole. W jej sąsiedztwie, nie jeden rozkoszny wieczór się przesiedziało, mówiąc chwała Bogu nie o literaturę i malarstwie, ale o szansach Crève Coeur do Wielkiej Warszawskiej, o ewentualnem wycofaniu Laïs i Paulette do stada itp.

Aż razu pewnego przychodzę na to czternaste piętro i zastaję Jerzego przy stalugach.

— Myślałem żeś się ustatkował, a ty znowu malujesz. Co to ma być?

— Leda z Łabędziem.

Z łabędziem mniejsza, ale ryzykuję pytanie, czy do Ledy nie przyjdzie pozować jaką ładną modelką? bo przecież to jedne chyba może wytłuma-

czyć pomysł malowania kobiety, kiedy jest tyle pięknych koni na świecie!

Okazuje się, że nie, bo te zatraczone ekspresjonisty malują bez modeli, z głowy. A niechże cię!... Trochę rozczarowany, ale chcąc inteligentnie podtrzymać rozmowę zaczynam Jerzemu wykladać sens takich pomysłonych afektów, jak Ledy z drobiem.

O zboczeniach w starożytności mało wiedziałem. Osobiście nieskamandrzyłem się, ale coś ze szkoły wyniosłem, tem więcej, że w każdej klasie solidnie po parę lat przesiedziałem, aż do samej matury, zdanej ostatecznie z licznymi poprawkami. Lecz nie trzymało mi się głowy, kto jest Leda i skąd jej przyszło z łabędziem — ? Opowiadałem Jerzemu więc o bliższych wzorach tego typu — na przykład, że u mnie na wsi, kogut się kochał na zabój w gospodyni, starej pannie, Franciszce Jemiola.

Lecz Jerzy był tak zaaferowany swoją ledą, że nie zwrócił uwagi na moje opowiadanie. Kręcił tylko głową.

III. ALKOHOL, STARA PANNA I KOGUT

Kogut pomieniony, był prześlicznym premiowanym liliputem, rasy Millefleur. Pedigree miał tak sążnisty, że zbładłby z zazdrości hr. Guccio Breza, Kawaler Maltański, chodzący w czerwonym fraku, kiedy umrze jaki kardynał, albo inna figura. Bez

uwagi na to, posponowały go kury i inne koguty, zwarzywszy zapewne na jego lilipuci wzrost. (O cesarzu Napoleonie nigdy nie słyszały, ani o P. Wołodyjowskim). Zwany popularnie TITIPULEK więc dotknięty srodze na honorze, wziął na ambit i bojkotował, tak podwórze, jak kurniki i — klin klinem — zaczął się snuć jak cień za panią Franciszką gospodynią, która w każdym razie była 50 razy większą od największej kury.

Gdziekolwiek szła, szedł on, rozmarzony i tkliwy — kiedy się nachyliła, biegł do jej rąk, usłużny i przesadnie czuły — kiedy siadała na krzesło, on wskakiwał na poręcz, potem na oparcie i skubał w ekstazie jej przerzedzone włosy. Co najlepsze z wszystkiego, bił się o nią z innymi kogutami. Skoro tylko p. Franciszka wyszła na podwórze i miała jakiś zatarg z drobiem, czy interes — Titipulek wpadał w szal i zaczynał wyraźnie koguty prowokować, ale że sięgał im zaledwie do ogona, więc po chwili sytuacja stawała się dla niego dramatyczną. Przez moment stawał wielce zadzierżyście, ale widząc, że zabierają się do jego skóry nie na żarty — wycofywał się klasycznymi wprost trawersami wyższej szkoły hiszpańskiej, boczkiem, boczkiem, z placu boju, wszelkich sił dokładając, aby tego nikt nie potraktował, jako rejterady.

Pani Franciszka miała drobny feler: lubiła alkohol, to jest, przynajmniej trzy razy do roku, musiała się ululać w drobną kaszkę. Leżała potem w swoim pokoju jak trup, flaszc-

kę i różaniec w ręku ściskając, oraz ciężko i żałośnie wzdychając, a Titipulek koło niej na łóżku, z miną pielęgniarza, strapiiony, oburzony na nas, że tak mało się przejmujemy jej obłożną chorobą. Muskał dziobem jej rękę, jej szal, jej włosy i pogdakiwał jak kwoka, nie nie jedząc, ani pijąc ze zgryzoty. A kiedy z domniemanej choroby wstawała pani Franciszka, ślaniająca się i pobladła i zbierała się do spowiedzi — Titipulek hopki wycinał po podłodze, piał, skrzydełkami trzepał, tak, że podejrzewać można było, iż przez solidarność z Uwielbianą i on sobie kropnął flaszczynę. Kto go wie zresztą — ? W każdym razie do spowiedzi potem nie chodził, co u p. Franciszki na ten przykład, było nieomylnym objawem katzenjammeru.

Podczas gdy p. Franciszka była zajęta przy gospodarstwie, lub bawiła w ekspijacyjnych celach w kościele, przychodził Titipulek do mnie. Łaził po wszystkich pokojach zresztą, elegancki, ważny, obrażony, wysoko podnosząc nogi, zbrojne w wielocentymetrowe ostrogi pierzaste — prawie zawsze twarzyszył nam przy obiedzie, dziobiąc z obrusa okruchy, resztki z talerzy i półmisków, piejąc przytem gęsto i donośnie.

Gdy który flegmatyczniejszy gość, niósł zbyt wolno kęsy na widelcu — „*między ustami a brzegiem puharu*“ spotykał się najczęściej z dziobem Titipulka, który mu najspokojniej zdziobiwał kęsy

z widelca. Goście się ponoś gorszyły. Ja nie. Gorszyłem się trochę jego inklinacją do p. Franciszki, — ale pozatem nie miałem nic do zarzucenia jego towarzystwu i jego manierom.

Zresztą cóż — ? U pp. Hulewiczów kocica wychowała kaczkę, u nas angorka przepadała za towarzystwem białych myszy i ptaszków—koza wyimaginowała sobie, że jest psem i uważała za swój obowiązek chodzić z hartami i legawcami na polowanie. Kiedy składałem się do strzału, odwracała coprawda głowę i przymykała oczy, ale skoro nie-szczęście minęło, to jest kiedy strzał padł, gnała co tchu za aportującym psem, przejęta swą rolą, usługą, podskakująca, węsząca — a z jaką miną triumfalną wkraczała po polowaniu na podwórzel!! Myślę, że Godfryd de Bouillon, zatykając sztandar na murach Jerozolimy, nie miał miny równie bohaterskiej i zarazem dostojnej...

Dużo jest pomyłonych w swoich upodraniach i afektach zwierząt. Nasz warszawski IPS. i SIM. mógł by coś niecoś o tem powiedzieć... Nawet moje gołębie dawały mi milion kłopotów, swoimi nieprzewidzianymi fantazjami, bojowej i erotycznej natury — więc bądźże tu człowieku niewyrozumiałym dla Ledy, czy dla Titipulka! Wzruszający był zresztą w swoim przywiązaniu, ten mikroskopijny, śliczny, miedziany, nakrapiany białem Titipulek. Wierny został p. Franciszce, starej panie, godnej gospodyni aż od zgonu. Dosłownie.

Przyszła bowiem cholera — niby nie na stare panny, tylko na drób. Wymierały kury jedna za drugą, serce pannie Franciszce rozdierając do cna. Bojkotujący kurniki Titipulek, opierał się epidemii najdłużej, lecz dnia pewnego i on osowiał. Łaził krok w krok za p. Franciszką, smutnie, ospale, melancholijnie, jakby ostatkiem sił.

Kucharz zaproponował, że go zarżnie, na co p. Franciszkę omal apopleksja nie trafiła. Spróbowała kogutka zamknąć w kojcu „z likarstwem“, ale krzyczał i trzepał się, więc wzięła go jak zwykle na noc do siebie. Jak zwykle usiadł ponoś na bocznicę panieńskiego łóżka, tuż przy jej głowie gasnący Titipulek i szklistemi ziarenkami oczu patrzył, jak ona przesuwając ziarenka różańca.

Kiedy przyszedłem rano po groch dla gołębi, zastałem panią Franciszkę zalaną łzami, a Titipulka martwego na jej łóżku. Był jeszcze ciepły, piórka miał nastroszone i główkę o wiotkim, zbielałym grzebieniu zwieszoną nad haftowanym w niezabudki jaśkiem p. Franciszki.

— Żeby to nie był grzech, panie dziedzicu, chlupała rzewnie p. Franciszka — tobym powiedziała, że on skończył tak prawie jak krześcijanin, bo pokręcił głową fte i wefte nad moim poświęconym różańcem i zamknął ślipia... Ady wołałabym te złote koleczyki stracić, jak jego...

Kucharz splunął na to i powiedział: tfy!!... Czu-

jąc zatem nieuniknioną burzę w powietrzu, wyniosłem się czempredzej do gołębników, ale na miejscu mego przyjaciela kubisty, wolałbym tą autentyczną parę, jak wątpliwą Ledę z łabędziem.

POSTRACH CIOTEK

*Komuż, jak nie Feliksowi Sca-
z i g h i n i e, bohaterowi niniejszej opo-
wieści — !?*

I

JÓZEK Z POD RÓŻNIATOWA
I LORD KITCHENER

Były to czasy bardzo odległe, czasy mej wczesnej młodości, kiedy jedyną kobietą, która mi się podobać mogła, była ta zza szyby wystawowej w magazynie mód i kiedy mi się jeszcze każdy koń podobał, byle był „duży“.

Nie brakło mi „dużych“ koni. Rodzice moi nie bawili się ze mną w ceregiele—jako 5-ciolatka sadzali na rosłe trzylatki, kucami pogardzając. Ilość kozłów, które machnąłem z konia, przechodzi w liczby już astronomiczne, nie do ustalenia, a sińców na ciele miałem tyle, że wyglądałem stale jak pantarka.

Zdrowo było. Podobno już w powijakach, byłem brany przez ojca na konia, ku ogólnemu wzburzeniu ciotek, babek no i mamki. Przy chrzcie świętym, wlał mi ktoś tyle szampana w dziobek, że spałem potem trzy doby ponoś jak

anioł. Znacznie później dopiero miałem się dowiedzieć, kto był tym szlachetnym dystrybutorem szampana i wynalazcą znamienitego systemu na krzykliwe bębny.

Wszędzie się powinno ten system stosować. Łatwiej jest przedewszystkiem dostać dobre, zdrowe wino, niżli dobrą i zdrową mamkę — po drugie bęben, dostawszy mleka, wrzeszczy jak opętany, zresztą zupełnie słusznie! — zaś po winie śpi anielsko, zadowolony, nikomu nie przeszkadzając. A po trzecie: czego się Jaś nie nauczy, tego i Jan już nie potrafi... A w końcu — wchodzi tu także w grę kwestje pedagogiczne. Dlaczego chłopaka przyzwyczajając od małości do najniższej kategorii kobiet — bo ostatecznie mamka, to kobieta dająca się za pieniądze i uprawiająca prawie zawsze „nieślubny“ proceder — zamiast przyzwyczajając go do najwyższej kategorii win?! Z punktu widzenia pedagogji: horrendum!

Mnie wino wyszło na dobre. Miałem poczucie jego ceny w sobie i wogóle setki wtedy przedmiotów miało przesadną nawet może dla mnie wartość. Piękna, nowa, chrześzcząca trenzla — mój Boże! pachnąca skórą, lub wędzidło, o niklowych „kołach“ przy pysku jak koła młyńskie! albo packtasza przy siodle, wypchana ile sił scyzorykami, pilnikami, sznurkami, rzemieniami: skarby Golkondy, czy innej królowej Bony, to guzik i fiume.

Nic się nie dziwiłem, kiedy razu pewnego w zi-

mie słyszę, jak ojciec mój trapi się, że posłaniec, który po pocztę chodził codzień do miasteczka, nie wrócił.

— Może, Boże broń zamarzł chłop gdzieś w górach, bo taki mróz i takie śniegi?

— Eh, bajka chłop, proszę pana dziedzica! — powiada Józef leśniczy — szkoda tylko nowej torby skórzanej.

Dopiero się zdziwiłem mocno, że ofuknął go ojciec, bo mnieby się też podówczas zdawało, że znacznie ważniejsza nowa torba skórzana od człowieka, chłopca czy księcia — później zmieniłem trochę zdanie, ale znowuż teraz przed paru dniami, u mego przyjaciela, redaktora działu literackiego w Kurjerze Porannym Tadeusza Brezy — przeglądałem „Wiadomości Literackie“ i, w nich, w sprawozdaniu z pamiętników Lloyda George'a, wyczytałem następujący passus, jako żywo Józka leśniczego mi przypominający: kiedyś po jakichś straszliwych bitwach czasu Wielkiej Wojny, lord Kitchener wpadł do sztabu i jęczał w kółko: *straszne!... straszne!...*

— Co jest straszne? pytają go. Że tyle się zmarnowało egzystencji ludzkich?!

— O no! powiada, ale że tyle się zmarnowało amunicji...

Okazuje się z tego, że poglądy angielskich lordów, nie bardzo się różnią od poglądów Józków z pod Roźniatowa. To odkrycie pocieszyło mnie znacznie i rozgrzeszyło z wielu zapatrywań, któ-

rym holdowałem czasu dzieciństwa, z Józkami się solidaryzując.

Ale wtedy lordy angielskie o tyle mnie obchodziły, o ile wiązało się ich imię z imieniem jakiegoś konia. Tylko na rozmowy o koniach nadstawałem uszu z takim przejęciem, z jakim może dzisiejsze pensjonarki słuchają przez radio śpiewu Kiepury. Dech mi zapierało na każdą podobną wieść usłyszaną, czy podsłuchaną.

II

QUI PRO QUO Z BISKUPEM

Razu pewnego jakaś niewyraźna ciotka (każda ciotka jest niewyraźna), z gęstymi pieprzykami na brodzie i robótką w ręku, opowiadała mojej matce, z nieukrywaną zgrozą w intonacji:

— Wyobraź sobie moja Heleniu, co znowu ten Feliks narobił!... U nas w doliniańskim powiecie był zapowiedziany przyjazd metropolity. Wzdłuż powiatu, po wsiach i miasteczkach, czekał naród uszykowany z choroągwiemi, banderjami, procesjami, z chlebem i solą. W Roźniatowie, proboszcz wysłał gońców na szosę, żeby pilnowali i zaraz dawali znać, a tymczasem chłopci stali przy kościele gotowi, z fanami i obrazami. Nareszcie nadbiega zziąpany goniec, że jadą!!! Na łeb na szyję wyrusza procesja, bractwa, choroągwie, aby przed

progiem miasteczka powitać biskupa. I akurat zbliża się jakiś wspaniały zaprząg okrutnem tempem. Widać olbrzymiej wysokości pojazd, zaprzągnięty w pięć gniadych koni, z tyłu dwóch trabantów dmie w złote trąby — no naturalnie, któż mógł jechać z taką muzyką i paradą, jak nie biskup?

Toteż ludzie popadali na kolana, baby w płacz, nawet te poklekały w wodzie, co przy grobli prały bieliznę i wszyscy czekają, żeby się biskup zatrzymał i pobłogosławił. Tymczasem ani się zatrzymał, ani spojrzał. Trzasnął z bata, przegnał jak piorun i poleciał dalej, aż rozdudnił cały Roźniatów.

Kiedy naród wrócił z tą wiadomością, proboszcz ręce załamał. Hano — pewnie baby przekłute w zanadto głośny płacz uderzyły, jak to one umieją, a chłopcy zanadto choroągwiemi machały i — konie biskupie się spłoszyły! Nic, tylko konie się spłoszyły i teraz może biskup gdzieś w rowie leży, nie daj Boże pokaleczony i wszystko przez ten podły naród! Łajał proboszcz z kwadrans, bo wiesz, że passjonat, gdy nagle, zamarł mu głos w gardle.

Oto widzi, że na zakręcie ulicy, spokojnie, cicho przejeżdża karetą... z księdzem biskupem. Obrażony, że go nikt na wjeździe do miasta nie witął jak należy, biskup ani spojrzał na proboszcza i pojechał dalej. Proboszcz ponoś dostał łupnia z konsystorza, naród dostaje łupnia co niedziela z ambony, że taki w pień głupi — a wszystko narobił

wiesz kto? Feliks. Bo to Feliks jechał na tej swojej warjackiej „poczcie“ wiedeńskiej!

Przez cały powiat tak grzmi na tej dwupiętrowej kolubrynie, trabanty dmą w trąby, z bąta strzela, a nawet mówią, czy dasz wiarę?!, że Staś Skarżyński, który się z nim wszędzie włóczył — kiedy widzi baby klęczące w ekstazie, to błogosławi je ręką, na lewo i na prawo... Straszny człowiek, ten Feliks!!...

Ani w ząb nie rozumiałem, na czym właściwie polega вина tego „straszego Feliksa“, w każdym razie stał się bohaterem moich marzeń dziecięcych. A kiedy dowiedziałem się, że to w dodatku nasz krewny, kiedy mi powiedziano, że to on był właśnie tym, który mi wlał kielich Extra Dry przy chrzcie do gardła — zachwyt mój przeszedł w adorację, zwłaszcza, że akurat w tym czasie pojawiła się u nas w domu jego fotografia.

„Straszny Feliks“, w mundurze Trani-Ułanów, w cudnie skrojonym frenczu i półrzymkim czaku na głowie, wydał mi się najpiękniejszym tworem na ziemi. Byłem odtąd pewny, że nie spowodu zamiany z biskupem, ale że poprostu na widok Feliksa klękały różniatowskie baby wzdłuż drogi. Któżby nie klękał i nie zachwycił się i gdzie go nawet porównać z jakim biskupem, czy samym nawet papieżem — !!?

W jakimś podświadomym skojarzeniu, powstał u mnie pewien uraz w stosunku do dygnitarzy kościelnych, z racji tej historii z Feliksem, bo w tym

okresie pamiętam, lanie dostałem za to, że nie chciałem pocałować w rękę metropolity, który był u nas na obiedzie. Nie i nie. Ale fotografię „straszego Feliksa“ postawiłem sobie na studenckim stoliku i pilnie wycinałem wzmianki o nim z gazet, o jego wygranych, przyjęciach, sukcesach itp.

III

KONIE I TIURNIURY

Do dziś zachowałem egzemplarz Gazety Narodowej z czwartku 30.6.1892 r., opisującej dzień jednego z niezwyklej sukcesów Feliksa Scazighiny. Obecnie wydaje się mi ten styl sprawozdania wyścigowego nieco pompatyczny — ale wtedy brzmiał mi cudowniej, niż Dziady Mickiewicza, wykuwane z nieukrywaną abominacją w szkole:

— *W biegu pierwszym, ścigały się o nagrodę Antonińską „Serenity“ hr. Henryka Brezy — Arlette Scazighiny i Crossboy Schindlera. Arlette szła pierwsza, mając koło siebie Serenity, który stanowczo niema szczęścia na lwowskim torze (3 tyg. mścę przyszedł przecież drugi w Derby wiedeńskim), szedł tu ostatni, niosąc swego właściciela. W finiszu, Serenity poczęła napierać Arlette, ta jednak nie dała sobie odebrać pierwszeństwa, Hans down przysła pierwsza, a Serenity, srodze umęczona, druga.*

Na świecie było prześlicznie. W górze szafiry, pałace słońce i obłoki smarolne. Na dole zieleń, kwiaty jaskrawe i tentniące życie. Niebo i ziemia stały sobie witania — tamto jasnymi promieniami słońca — ta rozkoszną wonią kwiatów. Człowiek podziwiał świat. Zebrany na torze zdarzało się, że są uczestnikami jakiejś garden-party tak jasne były toalety pań. Były one dernier cri de la mode; moda ostatnich czasów z roku na rok piękniej ubierała kobiety, pod względem kroju i barw przypomina epokę przełomową zeszłego stulecia — epokę sławną pięknnością i wdziękiem kobiet. Epoka ta się wraca.

Można było widzieć wczoraj na turfie wszystkie nasze mondainy. Były i najpiękniejsze i pozwalały się podziwiać. Czasom naszym zarzucić można wiele, bardzo wiele, ale każdy im przyznać musi to jedna, że kobiety nasez są piękniejsze, aniżeli którekolwiek z dawnych epok, choćby najbardziej sławionych. Po wielu galerjach mamy zachowane portrety dawnych piękności — porównanie więc łatwo uczynić. Nasze piękniejsze są o całe stulecie, a toalety jakie noszą, dzirone jeszcze tę piękność podnoszą. Toalety — to cała filozofja. Przytem zapominać nie należy, że tych tak pięknych kobiet, jaśnieje we Lwowie bardzo wiele.

Wtedy modne były akurat tiurniury, a ten mój natchniony kolega po fachu z przed 40-tu laty, wali cholera jak z nut, że „piękne kobiety te ko-

biety, ale toalety jakie noszą dzirone jeszcze tę piękność podnoszą“. Do rymu mu to było potrzebne, czy co?!? Dalej jednak uspakaja się i pisze:

— Wróćmy do wyścigów. W pierwszym biegu wziął, jako się rzekło nagrodę p. Scazighino. Ale kto wziął w drugim?

P. Scazighino. (Sladerok pod Bronnem).

To ślicznie. A w trzecim?

P. Scazighino. Cesarska nagroda. (Weisheit pod Bronnem).

Zdumiewające! A kto w czwartym?

P. Scazighino (Pitypalaty). A w piątym?

P. Scazighino (Voloska).

Jeszcze!! Czy nie za wiele szczęścia?

Za wiele?! Nigdy go niema zarwiele, jak niema na świecie zarwiele słońca, za wiele kwiatów, za wiele uśmiechów...

Tu znowu wpada w poetycki szal mój natchniony kolega, więc przerywam, tembardziej, że blisko 400 wierszy liczy to sprawozdanie. Miałem wielką coprawda ochotę przepisać cały ów elaborat dla Kurjera Porannego, aby mój naczelny się przekonał, jaki nieoceniony skarb posiada we mnie, jako swoim sprawozdawcy wyścigowym! Ile we mnie umiaru, taktu i powściągliwości, doprady wzruszającej, zważywszy, że biorę... od wiersza.

Kiedy jako chłopak 12-letni dorwałem się do tej gazety, zaplątanej gdzieś od paru lat w szufladach ojca — zaczytywałem się w niej. Może wzniosłe

opisy wchłaniałem bez należytego skupienia, natomiast pławilem się w zachwycie nad sukcesami tego postrachu ciotek, jakim był Feluś Scazighino. W jednym dniu 5 biegów!!! rekord w Polsce i Austrii dotąd niepokonyty!!! i to w rozgrywce z najsłynniejszymi crackami ówczesnych turfów europejskich i to w takiej klasie, że raz po raz totalizator zwracał stawki bez żadnej nadwyżki, tak bardzo ufano bezkonkurencyjnej stajni Scazighiny....

IV. CZEGO NIE PISAŁY GAZETY

Feliks Scazighino, odziedziczywszy olbrzymi, jak na ówczesne stosunki, majątek, rzucił się z całą pasją 22-letniego młodzika w świat sportu konińskiego. Przedewszystkiem wybudował w swoim Przewoźcu wspaniałe stajnie, urządzone jak salony, z obrazami na ścianach, dywanami, lustrami, fotelami — boksy wyglądały jak buduary. Tu wprowadził pierwszorzędną, zakupioną za krocie tysięcy materjał koniński, konie wyścigowe, wierzchowce, zaprzęgowe. Wogóle luksus jego pojazdów przechodził wszelkie pojęcie i uprawiał w zdumienie, nie tylko Galicję, ale Peszt i Wiedeń.

A wtedy kochano się w królewskich pojazdach! — wtedy hr. Siemieński, ordynat z Chorostkowa, olśniewał świat tandemami, czwórkami arabów, piątkami — Galicja pamięta do dziś jego siwe czwórki arabów: lisie kity przy kantarach i kra-

kus na koźle. Pamięta Austria przepyszne zaprzęgi hr. Zichy, hr. Wimpfena, tandemy hr. Giulay — furorę robiące amerykany hr. Karola Schoenborna — i Warszawa też pamięta szyki w Alejach Ujazdowskich.

Dziś pyka „benzyna“. Niezapomniany „fiaker“ wiedeński zaginął, a znakomitą dorożkę warszawską, zastąpiła trzeszcząca „sałata“. Zaś reszta magnatów piechotką drecze, względnie czuje się bosko w tramwaju... Hano! zaszanowali nogi za młodu, to mogą teraz piechotą drałować. W Austrii i krajach przez nią okupowanych, moda szła z Hofburgu, gdzie cesarz, arcyksiężęta i księżęta krwi, nie jeździli jak dzisiejsi powojenni dygnitarze, demokratycznymi samochodami. Nie było resztą samochodów, a były srebrne kladruby i lipizanery, krzeszące ognia podkowami, przy kolasie ozdobionej herbami i emblematami. Cesarzowa Elżbieta była sama znakomitą jeźdźczynią, biorącą często udział w węgierskich parforsach. Ciągłe się słyszało i czytało, że oto ten panek zajechał na wyścigi szóstką — a jakiś ks. Lubomirski zaprezentował na corsa kwiatowem w Nizy dziesięć koni w lic.

Słowem sadzono się na zaprzęgi i nie było czem można było w tej materji bliżnim, a zwłaszcza koneserom zaimponować, więc też nie było jakie były zaprzęgi Scazighiny, skoro tyle o nich mówiono i skoro do dziś wiele się jeszcze w Małopolsce o nich mówi. Kiedy zaczęły te paradjery na torze

treningowym w Przewoźcu galopować, kiedy zaczęli stangreci ujeżdżać klusaki i jukiery — zaczęło się Feliksowi mieć punkt obserwacyjny wygodny. Wywalił więc trzypiętrową wieżę przy dworze, połączoną schodami z jego gabinetem, z tarasu której, on i jego goście, mogli godzinami przyglądać się jazdom i galopom na przestrzeni paru kilometrów wokoło.

Na tarasie tym, przesiadywali najslawniejsi przedstawiciele ówczesnego świata sportowego, magnaci polscy, węgierscy, austriaccy, zapijając boskie tokaje i przysłuchując się kapeli cygańskiej, sprowadzonej z Pesztu. Konie tymczasem galopowały po padokach i na torze. Ale mało było wieży! Przychodziła przecież zima, okres dla koni opłakany. Feliks postanowił więc postawić krytą rajtszulę, a że wszystko co robił, robił z rozmachem niebywałym, więc i tu wybudował coś, czego nie było w całej monarchji austriackiej. Miał podobną rajtszul hr. Stanisław Siemieński w Pawłosiowie i p. Schindler w Mokrzyckowie, ale akurat o połowę mniejszą.

Rajtszula Sczazighiny tworzyła koło o 320 metr. obwodu. Ściana wokół miała 8 metr. wysokości — wewnętrzna 5 metr. Szerokość kurytarza treningowego wynosiła 12 metrów, tak że wygodnie mogły 4 konie obok siebie galopować. W kole wewnętrznem, znajdowały się łoża dla gości — galerja dla kapeli — konsole pod kwiaty — wszystko rzęsiście oświetlone pod kopułą dachu.

Żaden koń nie mógł tu wyłamać — dlatego wszystkie skoczki Sczazighiny były znane, jako najniezawodniejsze i najlepsze. Wśród kwiatów, które mi udekorowane były łoża, wśród najpiękniejszych pań z wielkiego świata i — bywało często — z półświatka, wśród najzawrotniejszych czardaszy, rżniętych od ucha przez kapele cygańską, wśród gęsto wychylanych kielichów szampana — trenowano i ujeżdżano konie, które szły potem w szeroki świat, zdobywając jedną nagrodę za drugą.

Jakich rozmiarów była ta rajtszula, niech objaśni fakt, że gdy wojna zniszczyła w Przewoźcu i pałac i wieżę, pozostawiwszy tylko stajnie i rajtszulę, to w tej ostatniej mieszczono odtąd całoroczny zbiór zboża z dużego majątku i cały martwy inwentarz, wraz z lokomobilami, młocarniami, żniwiarkami ect. To wszystko było zamykane jedną bramą na klucz. Zaimponowała mi poraz drugi ta rajtszula, kiedy ją po wojnie zobaczyłem, w jej nowej, wielce przyziemnej roli, ale — wyznaję, smutek ścisnął mi serce. Echa, grały mi w niej wciąż rżeniem koni, podobnych marzeniu — śmiechem najśliczniejszych pań, którym niech Bóg przebaczy tiurniury — upojeniem przeciągłych melodji węgierskich i wiedeńskich walców... Jakoś mi się pomieścić we łbie nie chciało, że zsypuje się tu skromnie pszenicę, groch i kukurydzę i ustawia pod rząd rydle i młynki, a co najważniejsze, że ten siwawy pan, który stoi

obok mnie, trochę posępny, to ten „straszny Feliks” Scazighino, pożeracz przestrzeni i serc — postrach ciotek — najgłośniejszy sportsmen swego czasu, bohater tysiąca awantur romantycznych i turfowych.

V. VADONCS

Pamiętam jak przez sen, gwiazdę Przewoźca, przepyszną Vadoncs, lysą kasztankę, 172 stojącej miary, wychowaną stadą książąt Koburg w Vacs. Kupił ją Scazighino za najwyższą podówczas cenę, jaką za półkrew płacono, bezpośrednio po wygranu przez nią wiedeńskiego Preisreiten. Nie było co! Pobila w tym konkursie 212 konkurentów, pod rtm. Franzem Mario. Ten gmach kobyła, która lekko niosła 150 kg. wagi, miała ruchy, zwrotność i gibkość antylopy. Scazighino nieraz jeden ustawiał dwie panie obok siebie i kładł im na ramiona parasolkę, poczem skakał przez tę parasolkę na Vadoncs — czasem ustawiał znowuż 12 krzeseł, parami, w długi sznur, sadzał na nich 12 chłopców stajennych i skakał przez ten sznur na kobyłę, ale nie na szerokość tylko... na długość: sztuka, której i w cyrku niktby się nie powstydział. Z zapalem opowiada o niej jeszcze dziś Scazighino — wtedy tylko ożywia się i chmurne jego oczy rozświecila miłe wspomnienie:

— Jadę raz z chłopca stajennymi na codzien-

ny galop, ja jak zawsze na Vadoncs, a za mną 8 chłopców na pełnej krwi Miss Ellen, Misenus, Reichenau i irlandzkich Beatrix, Kilien itd. słowem same dobre konie. Galopujemy na łąkach, wzdłuż szosy Przewoźiec-Babin. Akurat rzeka Łomnica wylała, dopływy wezbrały i wody otaczają nas pierścieniem. Zdaleka widzę, że na mostku stoi towarzystwo ze Studzianki — chcę podjechać i przywitać, skręcam więc, aby wjechać na szosę. W tej chwili jednak Janek Rimas, mój najlepszy stajenny woła:

— Proszę jaśnie pana, a poco zjeżdżać na szosę?! nie skoczymy młynówki?!

Przed nami rozlana młynówka robi wrażenie bagna — kliwo mi się czyni dookoła serca, ale kiedy ten wałkoń proponuje skok, nie wypada mi odmówić. Naturalnie chłopczysko niezorjentowało się, jak dalece było trudne to zadanie, straszące konie topieliskiem, mętną wodą, rowem ect. Odkrzyknąłem jednak:

— Ano skaczemy! Jazda!. To znaczy ja skoczę, a wy się trochę skąpiecie i — rżnę na młynówkę wprost. Towarzystwo na mostku dech wstrzymało, widząc tempo, jakie biorę na Vadoncs, a Vadoncs, genialna klacz, doskonale rozumiała, że tu się nie da przegalopować, że tu się nie da przemycić, że tu trzeba skoczyć i to nie byle jak.

Skoczyła. Pamiętam, lecieliśmy długo w powietrzu i nareszcie wylądowali szczęśliwie. Za sobą

usłyszałem kilka tylko znamiennych chlupnięć w wodę. To chłopcy stajenni jak gruszki, jeden za drugim, z Jankiem na czele, walili się do rzeki, tak że musiałem zsiąść z mojej kobyły, reitstocikiem chwycić w wodzie trenzle i wyciągać konie na brzeg. Ślady mego skoku, widoczne po obu stronach młynówki, były potem protokularnie zbadane i zapisane jako jeden z fenomenów jeździeckich — skok bowiem wynosił od kopyta do kopyta t. j.: od startu do wylądowania: 8,28 metr.

Tak skakała Vadoncs.

Po powrocie do domu, usłyszałem w jakiś czas, rozpaczliwe wycie na podwórzu. To chłopcy stajenni garbowali solidarnie skórę Jankowi, za jego pomysły i namawianie mnie do głupstw, oraz za kąpiel. Udałem dyplomatycznie, że nic nie słyszę, niemniej się zdziwiłem, kiedy bohaterski, sprany na kwaśne jabłko Janek, okładający sobie porobiwszy na miejsca obolałe, znowu mnie namawiał w parę dni później na powtórzenie skoku przez młynówkę ale choć woda już znacznie opadła, nie dałem się namówić. Wiedziałem, że podobny skok może się udać tylko raz i to nawet na takiej Vadoncs.

I wogóle taka Vadoncs mogła się udać tylko raz. Ofiarowywano mi za nią na wystawie w Paryżu, 30.000 franków, — odrzucałem każdą propozycję. Nie było sumy, któraby mnie zniewoliła do pozbycia się tej cudnej klaczy. A kiedy padła przy ożrebieciu — oszalałem. Molestowałem

wszystkich koniarzy świata, aby mi znaleźli za każdą cenę, konia tej klasy co Vadoncs. Dawałem im *plein pouvoir* do 20.000 guldenów — udawałem się do Vacs, do książąt Koburskich, z prośbą o jej brata, czy półbrata, byle to było coś do niej zbliżonego. Na to mi zarząd stadniny odpowiedział:

— Mamy konie wysokiej chyba klasy, ale nawet u nas takie Vadoncs są rzadkością i fenomenem...

Pewnie że tak. Vadoncs pod wagą Feliksa Scazighiny (85 klg.) wygrywała wszystkie myśliwskie biegi w Austrii, Czechach i Węgrzech, wogóle niedozestawienia z jakimkolwiek innym koniem. Po jej śmierci nie miał już nigdy posiadać czegoś podobnego. Tymczasem, niepokieszony po Vadoncs, prowadził dalej swoją stajnię wyścigową. Sześćdziesiąt swoich koni miał w treningu, a z tego już 15 własnego chowu. Przez lat 9, na torach Wiedeń, Budapeszt, Serajewo, Kottlingbrunn, Allag, Pressburg, Oedenburg, Kraków, Lwów, ect. wygrał na ówczesne czasy (1890—1899) 50.000 dolarów, a pamiętajmy, że nagrody wtedy były mniejsze od dzisiejszych, co do liczb oczywiście, nie co do wartości, bo 50.000 guldenów za Derby austriackie, miały większą wartość, niż naszych obecnych 100.000 złotych polskich.

VI. NIEUDANE I UDANE TRANZAKCJE

Scazighino miał też przeprawy różne. Był np. taki folblut Sladerok, po Flibustier od Cyprienne. Zakupiony przez niego w słynnym stadzie Kisber, za 4000 guldenów, uchodzi jako dwulatek, za najpiękniejszego konia na torach światowych. (Dla orjentacji w cenach dodam, że w owym czasie najwyższą cenę za roczniaka, uzyskano za „Lustkandla”: 8500 guldenów!). Siedemnastej miary, 23 pod kolanem, miał Sladerok jeden przykry błąd: fantazje. Kiedy mu przyszła fantazja, stawał w biegu i nie było siły, nie było lokomotywy, któraby go pociągnęła za sobą.

— Dnia 14 maja 1891 r. — opowiada Scazighino — startował poraz pierwszy. Przed samym biegiem, przychodzi od mnie hr. Antoni Apponyi i daje mi 20.000 guldenów za Sladeroka, plus nagroda, o którą startuje. Jednak i ja i trener mój Reeves, wierzyliśmy nazbyt silnie w tę cudowną maszynę, w tego syna Flibustiera, aby nie odmówić z miejsca Apponyemu.

Koń ruszył — idzie poprostu cantrem, daleko na przedzie stawki! — przed samą metą jest wciąż pierwszy, swobodnie, lekko, więc, widząc, że nie ulega kwestji zwycięstwo, odkładałam lornetkę, nagle słyszę powtarzające się:

— Carmen, Socialist! — Carmen, Socialist!!!

Co u djaska?!? Podnoszę lornetkę do oczu i widzę, że Sladerok przestał iść i jest... szósty. My-

ślałem, że bestja zakulała, zachorowała, ale żokej Bell mówi z wściekłością:

— Zdrow jak ryba! Wygrywał jak chciał. Nawet śladu za nim koni nie było! ale kiedy przed metą zbliżyły się trzy inne konie w batrach — Sladerok stanął. Namawiałem, prosiłem, prałem, nie poszedł. Czegoś podobnego w życiu nie widziałem!

Po biegu podszedł do mnie hr. Apponyi i ironicznie dziękował za wysoką moją uprzejmość, że... konia nie sprzedałem.

— Jako rewanż, służę ci, lieber Freud radą: zastrzel drania.

Nie zastrzeliłem, ani konia, ani Apponyego. Spróbowałem jeszcze raz i drugi Sladeroka. Kiedy się bestji chciało, wygrywał jakby się bawił — a kiedy nie — to przychodził ostatni. Ta loterja mnie w końcu zirytowała i wskakałem go na płoty. Pierwszy raz startował z ośmiu końmi. Jedzie na nim atleta-dżokej Gheoghegan, szalenie silny i zdolny (był trzecim wogóle, po najlepszym dżokeju, zwycięzcy Williamsonie). Dostaje ordre:

— Pójdzie bydlę, to all right. Pokażę chimery, to prać w śmierć.

Po trzecim płocie, Sladerok przestaje iść — pod gradem batów i ostróg, skacze jeszcze płot czwarty i piąty — staje, wierzga kapitalnie i puszcza się w kłus, którego by mu amerykański traber pozazdrościł. Jakby szedł w Preistreiten! Baty nie

ustają, skacze więc Sladerok, ciągle z klusa, trzy ploty i klusem dochodzi do mety.

To był ostatni jego wyścig. Miałem dość, sprzedałem go rządowi na reproduktora. W roku 1890 byłem z moją stajnią w Budapeszcie. W restauracji, w nocy, podchodzi do mego stołu śp. hr. Rudi Baworowski z Kopyczyniec, wielki znawca koni i sportu. Polak, ale urodzony z Niemki (hr. Hardegg), wychowany zagranicą, więc słabo językiem rodzinnym władający:

— Jutro będziesz musiała konia kupić w trzecim biegu sprzedażnym dla dwulatków. Ten koń barona Uechtritza, ona jest oceniona drei Tausend Gulden, dla niskiej wagi — możesz dała za niego 12.000 guldenów. Ja słyszał w Jockey Klubie rozmowę Apponyego z Uechstritzem — oni wysoko się założyli i mają zamiar konia odkupić.

Istotnie nazajutrz rusza w trzecim sprzedażnym biegu Pittypalaty, piękny, gniady ogier, po Weisenknabe od Kallu. Wierząc ślepo Baworowskiemu, mimo że zasadniczo wówczas nie grywałem w totalizatora, zakładałem się u booków na 2000 guldenów. Przyjmowali zakłady 5 : 1 (potem spadły na pari). Koń wygrał prześlicznie, a że w Peszcie licytacja szła piorunem, więc w parę minut, byłem już właścicielem Pitypalaty, za śmieszną sumę 3050 guldenów.

Jeszcze nie odprowadzili konia do stajni, kiedy wpada zziębnięty, promieniejący szczęściem bar. Uechstritz, który w zakłady na swego konia, te-

goż właśnie Pitypalaty, wygrał około 100.000 guldenów. Z wielkiej radości zapomniał, że odbywała się licytacja. Złapał się za głowę, kiedy mu powiedziałem, że koń jest mój.

— Odsprzedaj mi go z powrotem!! Daję 5000 guldenów! Daję 10.000 guldenów!!!

Uśmiechnąłem się, niewzruszony. Na drugi raz niech pamięta, że po biegu sprzedażnym, następuje licytacja. No i koń przyszedł mi, więcej niż darmo, bo wygrałem w tym samym biegu na niego, u booków, 10.000 guldenów, a w ciągu roku, przeszło 20.000 guldenów. Opłacił się Pitypalaty.

Po skończonej karierze wyścigowej, kupił go odemnie do stada p. Sonnenberg z pod Warszawy.

VII. ZNOWU TIURNIURY

Czasem w historii końskiej, wpłatała się kobieta i jakimiś okreśnionymi drogami, wpływała na bieg wypadków turfowych. I tak w roku 1892 rozszła się sensacyjna wieść po stolicy naddunajskiej, że uciekł do Afryki młody magnat, książę Ludwik Schwarzenberg, nadporucznik krakowskiego pułku ułanów. Zrobił się huczek nielada, ale dopiero się wzmógł do granic skandalu, gdy przyszły szczegóły.

Oto książę pan nie wyjechał sam. Do kraju piramid, palm i daktyli, zabrał ze sobą przyjaciółkę hr. Bathyanego, słynną Dorę Pannes. Spra-

wa się wikała. Zналиśmy ją wszyscy, gdyż stale bywała z Batthyanyem w naszym gronie, składającym się zazwyczaj z hr. Paara, księcia Fürstenberga, Rodakowskiego, hr. Adama Zamoyskiego i tegoż księcia Schwarzenberga. Pamiętaliśmy taką scenę: baron Rosenstock, który wygrywał wtedy miliony na giełdzie, potentat, zapytał Dory, która wyjątkowo była tego dnia z nami sama, bez Batthyanyego, czy może odprowadzić ją do domu i czy ofiaruje mu u siebie kieliszek koniaku.

— Owszem, panie baronie, odpowiedziała zimno Dora. Proszę bardzo, ale zwracam uwagę, że jeden wieczór u mnie, to kwestja 50.000 guldenów.

— Tembardziej, droga pani. Jedziemy.

I pojechali. Nazajutrz pytamy się Dory jak było z Rosenstockiem?

— A nic. Dziwny człowiek. Odprowadził mnie, wypił u mnie kieliszek koniaku, położył na stół czek na 50.000 guldenów i wyszedł.

Śmiejemy się.

— Jakto?! i nic więcej?!

— Nic. Ale to doprawdy nie moja wina...

I ta właśnie Dora, u której kieliszek koniaku, bez dodatków, kosztował 50.000 guldenów, znikła z horyzontu z młodym Schwarzenbergiem, który zostawił w kraju przeszło milion guldenów długów. Stary książę, wściekły na syna, ogłosić kazał natychmiastową licytację jego stajni wyścigowej.

Sprzedany jeden folblut, drugi, dziesiąty, w koń-

cu wyprowadzają trzyletniego, słynnego ogiera ESPOIR, po Barcaldine, od Bel Esperanza. Znany sportsmen i znawca koni Wackerow, krzyczy i krzyczy cenę wywołania: 12.000 guldenów!

— Kto daje więcej!

Milczenie. Nikt niedaje. Bo choć trenerzy przysięgają się na miły Bóg, że to koń pierwszej klasy, że Derby ma pewne, chodzą plotki, że ma ringbeina (narość kostna na pęcinie). Scazighino podchodzi, oczy mu wylazą do wspaniałego konia i w poszukiwaniu tego Ringbeina, nie widząc żadnej narości, już chce zawołać:

— 12,5000!!! kiedy zjawia się znowu Rudi Bawowski.

— Czy ty zwarzowała?!? Czy ty zgłupiała?!? Przecież Ringbein, wie im Buche steht, nawet 500 guldenów ta krampa nie wygra.

— Westchnąłem, —powiada Scazighino. Podziękowałem P. Bogu i Rudiemu Bawowskiemu za opiekę i konia nie kupiłem. Na drugi dzień, za namową swej żony kupił ESPOIRA z wolnej ręki stary generał von Kodolitsch. Śmieliśmy się z niej i z niego w duchu, aliści ledwo minął miesiąc, a ESPOIR w Derby wiedeńskim przyszedł piąty — w parę tygodni później wygrał Derby niemieckie w Hamburgu — w roku 1892, na 709 koni startujących w Austro-Węgrzech, on miał najwięcej wygranych. W następnym roku wygrywa w Anglii trzy biegi — Anglicy ofiarowują zań 12.000 funtów sterlingów, ale stary Kodolitsch

przywozi go do Austrii spowrotem, wygrywa jeszcze dobrych kilkadziesiąt tysięcy guldenów i oddaje w końcu do swego stada.

Koń nie miał wcale Ringbeina i okazało się, że pani generałowa lepiej się na rzeczy znała, niż my wszystkie matadory do spółki razem.

VIII. NAJTANSZA KOLACJA HRABIEGO JÓZEFA POTOCKIEGO

Byłem wściekły na siebie, na Baworowskiego, na moich trenerów, ale wciąż odtąd o stadzie gen. Kodolitscha dumalem, toteż wiosną 1895 r. nabyłem u niego UNSER GRAFA, po Stranzian, od Fara-da-se, płacąc połowę Wielkiej Krakowskiej, w której miał iść, plus 20.000 guldenów. Ale pech mnie prześladował: wyścig wygrał OR VERT, a ja ponadto przerząłem 5.000 guldenów w zakładach.

Po tem niepowodzeniu, zjechałem do Lwowa, gdzie miała być rozegrana Nagroda Cesarska, w której konkurowały zawsze najlepsze konie monarchji. Tymczasem szedł wielce niebezpieczny GOUNOD Apponyego i EGOIST Schindlera. W klubie o niczem innem nie mówiono, tylko o szansach Cesarskiej. Objady, kolacyjki, wszystko było okraszone debetami, kto ją weźmie. Przy jednym z takich objadów siedzimy: ja, Siemień-

ski, Postruski, Alfred Garapich, Brykczyński i Józef Potocki. Nagle odzywa się ten ostatni:

— Niema dwóch zdań, że wygra GOUNOD. Trzymam zakład 25.000 guldenów, przeciw wszystkim moim koniom własnym — to znaczy, że o ile GOUNOD nie przyjdzie pierwszy, płacę zaraz 25.000 guldenów. Trzymacie?

Nikt się jednak nie kwapił. Przed samym biegiem, kiedy się denerwuję przy siodłaniu klaczy Siemieńskiego MY OWN, która miała leaderować mojemu UNSER GRAFOWI, podbiega do mnie Brykczyński i Postruski.

— Wiesz, Potocki upiera się przy zakładzie, ale w takiej formie: jeśli wygra Gounod, to nas pięciu płaci Potockiemu, solidarnie, 20.000 guldenów, a jeśli przegra, to Potocki płaci nam 25.000.

— Dobrze, odpowiadałam bez namysłu, zresztą bardziej zajęty koniem niż zakładem. Trzymamy do spółki, ale jeżeli się boicie, to trzymam sam przeciw Potockiemu.

Wyścig złożył się fatalnie dla mego konia. Przyszedł trzeci, wygrał EGOIST, a drugim dopiero był GOUNOD. Myślę sobie: źle z UNSER GRAFEM (bo kosztował mnie 20.000 guldenów, a przegręwa po raz drugi). natomiast dobrze z zakładem! GOUNOD przegrał, więc o ile tamci panowie nie przystąpili do spółki ze mną, to otrzymam od Potockiego 25.000 guldenów, a o ile przystąpili, to zainkasuję skromnych 5.000 guld. Dobra psu i mucha...

Idę z miną kwaśną, ale niezdesperowaną do towarzystwa i tu dopiero następuje kłapa. Okazało się, że tamci panowie, nie tylko że nie chcieli się założyć, ale w dodatku moje słowa, że zakładam się ewentualnie sam, położyli na karb mego zdenerwowania przy siodłaniu MY OWN i — nie wzięli ich wcale w rachubę.

Teraz dopiero wpadłem w wściekłość, natomiast Potocki promieniał. Zaprosił nas na tak magnacki objad, że przy fontannach szampana i niewidzianych frykasach, zapomniało się o pechu i przegranej. Przypomniawszy jednak w końcu sam Potocki.

— Jest to stanowczo najtańszy obiad, na jaki ośmieliłem się kiedykolwiek w życiu przyjaciół zaprosić ..

IX. SZCZYT CHWAŁY.

— Szczęście się wahało — raz był pech — raz sukces rozgłosny. Najpiękniejszym jednak może dniem Scazighiny, poza dniami owych wyścigów we Lwowie, w których wziął pod rząd 5 wielkich nagród — była wygrana Nagroda Pań w Wiedniu, kłaczą VOLOSKA.

Tu istotnie co było najurodzawszego w wielkim świecie spośród pań, przypatrywało się triumfowi Feliksa. A kiedy w wielkim stylu wygrały czerwono-białe barwy Scazighiny — właścicielka olbrzymiego, słynnego stada, piękna hrabina S. G. zaprosiła go na kolację do Imperialu.

Przyjeżdża Scazighino o 9-ej wieczór, wchodzi do Białej Sali, w której tyle już miłych wieczorów spędzili i — staje oniemiały. Wszystkie ściany, cały stół, przybrany jego barwami, biało-ponsowymi różami i — co ważniejsze — wszystkie panie w toaletach czerwono-białych.

Jeszcze teraz uśmiecha się melancholijnie Scazighino, kiedy mu wspomnieć ucztę biało-czerwoną, o której, nawet całkiem czerwony, republikański, czy całkiem biały Dolfussowski Wiedeń, nie zupełnie zapomniawszy.

— Szkoda, że minęły piękne dni, ale warto było żyć, aby to wszystko przeżyć co ja... kończy Scazighino.

Potem prowadzi mnie do obecnego swego dworu, stojącego obok ruin i zgłiszcz wjeżdżających Przewoźca i mówi:

— Tyle krzyczano swego czasu na moje stajnie — ciotki łamały ręce, żem zwarjował, no i widzisz, jak się przydały —?!? Patrz! Z każdego boksu wykroili się wygodny, duży pokój. Gdyby nie było tych moich przedwojennych stajen okrzyczanych, siedzielibyśmy dziś wszyscy... pod parasolami.

RODZYŃKA

Zakazali mi surowo o niej pisać. Powiedzieli, że końskich ogonów piewca, jestem zamało „subtelny“, aby rozumieć (jak mówi Poznaniak) „*takie cuś*“.

Ale że owoc zakazany najbardziej nęci, będę mówił o RODZYNCE, dodając, że o ile pamiętam z wykładów biblijnych w Chyrowie, owocem zakazanym nie była wcale rodzynka, tylko jabłko.

Miedzy nami mówiąc, dziwni ludzie byli ci państwo Adamowie w Raju, żeby o jabłka robić tyle kramu. Zresztą na pewno w tekście biblijnym zaszała pomyłka i to był grappe fruit, dotychczas w Palestynie hodowany i z tej racji niewątpliwie tak namiętnie u nas obecnie forsowany przez wybrany naród. Jablek w Palestynie nie było i niema.

Mnie wszystko jedno. Owoców nie lubię, jedynie chyba winogrona i to... po fermentacji, a jeżeli chodzi o czcigodnych patrjarchów, to znacznie wyżej stawiam pocziwego Noego, od tamtych amatorów jablek. Nietylko dlatego, że popijał morowo, ile że się zamknął na widok wody, na cztery spusty, na 40 dni. To rozumiem!

Ale — wracajmy do RODZYNKI. Nazywa się ona właściwie ROSINE —, derywacyjnie, pochodzi od kwiatu, a nie od żadnej bakalji. Ale Niania nazwała ją RODZYNKA i tak zostało. Jest malutka, kud.ata aż po oczy, koloru takiej wiejskiej kawy, w której mniej kawy niż śmietanki, z srebrnym połyskiem jedwabista kulka. Niewiadomo co.

Kiedy ją jej pani niesie pod pachą na ulicy, każdy myśli, że to maskotka z wełny i z jedwabiu, a nie żywy pies. Trzeba ją dopiero tego uszczypnąć, aby się przekonać, że to pies. Bo RODZYNKA to pies, griffonek brukselski, wysokiej krwi, spokrewniony z samym dworem wallońskim. Lubi dlatego mięciutkie poduszki i to wybiera na kanapie ałasowe i pluszowe, gardząc wyrobami krajowymi, w postaci kilimów czy łowickich pasiaków.

Rodzynka gardzi także każdym jedzeniem, grymasi, każe się prosić, a właściwie każe sobie „odbierać“ i wtedy, jako wysoko urodzona dama, mająca silnie rozwinięte poczucie własności, gryzie najpierw „odbierającego“, a potem dopiero gryzie kotlet. Inaczej kotlet stał by do sądnego dnia. Na mnie spada zazwyczaj dość monotony obowiązek zapobiegania śmierci głodowej Rodzynki.

Cieleca siekanina, albo wątróbka, czeka na porcelanowej miseczce, aż ja wyjdę. Rodzynka z wyżyn kanapy, patrzy niby od niechcenia na moje ruchy. Patrzy, jak zdejmuję płaszcz i kapelusz, jak je wieszam an szaragach i jak zdradziecko pod-

chodzę do miseczki. Wtedy następuje krótkie spięcie. Rodzynka ciska się jak żmija na mnie i gryzie mnie manifestacyjnie w łydkę, lub w rękę, gdzie popadnie, poczem piszcząc z wielkiego zdenerwowania, zabiera się łaskawie do miseczki.

Tu zauważyć można, ile jest w arystokracji oparowania i kultu dla tradycji. Rodzynka bowiem wcale się nie lęka o swoją posiekaną własność, a tylko raz obrawszy pewien ceremonjał, pilnuje przepisów, pilnuje form, pilnuje tradycji. Lecz, że święty upada ponoś siedem razy dziennie, ceremonialność Rodzynki miewa też czasem swoje upadki.

Naprzykład: Rodzynka ma zdecydowaną awersję do kąpieli. Kiedy przygotowują wysoce antypatyczną balijkę, kiedy zapachnie Schampoo i rozbielą się ręczniki i prześcieradła, Rodzynka — szust pod szafę. Szafa odstaje od podłogi na 2 centymetry — to nie przeszkadza nic a nic Rodzynce, ale możecie sobie wyobrazić, jak ten cudak wygląda z pod tej szafy wyciągnięty. Po pierwszej ablucji, kiedy jej pani przygotowuje drugą porcję zmywającą, z octem toaletowym, Rodzynka czołgając się na brzuszku na płask, szuka chyłkiem schronu gdzie może. Idzie za lampę, za drewniany, ponury jak noc bohomaz świętej Barbary, której zresztą boi się jak ognia i na którą nie patrzy bez warczenia w zwykłym czasie — zgarnia małym korpusikiem jakie tylko są w po-

koju pajęczyny i śmiecie i doprowadza do czarnej rozpacz s woją panią, która musi ponawiać kąpiel ad infinitum.

Ani rusz tego zrozumieć nie może Rodzynka, że jej gra w ciuciubabkę przedłuża tylko okrutny i bezlitosny proces i podnieca straszliwy żal, wobec odkrycia, że jej pani niema serca za grosz. Nie mieści się pojęcie „serca“ w sąsiedztwie wody, baliżki, mydła i prześcieradła — na złość więc, z całą premedytacją, idzie po kąpeli Rodzynka na łóżko pani, na jej poduszkę, na kapę i otrząsa się skrupulatnie z wody, aby wszystko było naokół mokre, stół, książki, gazety, łóżko, dywan, obraz i ponura św. Barbara.

— Macie skoroście chcieli...

Potem zasypia Rodzynka z żalu i zmęczenia i rano budzi się, rozkoszna, strzępiasta, puszysta, w świetnym humorze, ogoneczkiem niewidzialnym kręcąc, tak że tańczy rumbę cały jej zadek.

Rodzynka jest gościnną, ale także tylko pewne punkty ceremoniału z przyjmowaniem gości, są jej mile. Gość przychodzi i siedzi, rzecz obojętna. Niech siedzi, niech zawadza, niech je, niech gada, niech dymi. Całe wyteżenie Rodzynki jest skoncentrowane na moment pożegnania. Gość bierze panią za rękę — wtedy jeden skok i Rodzynka daje znać, że czuwa. Nad czym?!? Bóg raczy wiedzieć. Nad cnotą swojej pani? czy nad

jej bezpieczeństwem, bo anuż gość ma sztylet w garści ukryty? czy poprostu Rodzynka, jak Mussolini i Hitler, uważa, że ręki się nie podaje, tylko wznosi uroczystym gestem?

Ale podniesienie ręki, też by ją wyprowadziło z równowagi — niewiadomo więc co się kryją za marzenia i pragnienia i wstręty w tej puszystej duszyczce. Ona nas rozumie doskonale, my jej nie — ona zna tysiące naszych wrażeń, spojrzeń i gestów, ich znaczenie, tajne czy ukryte, my nic nie wiemy, co znaczy jej zaduma, jej kręcący się tyłeczek, jej pisk, jej grymasy, jej energiczne wkroczenie nagle w takie oczy owakie nasze czynności.

Człowiek jest głupi i koniec.

Kiedy jej pani wyjeżdża bez niej, Rodzynka mieszka u mnie. Dostaję wtedy na dworcu tuzin kartek korespondencyjnych, zaadresowanych do jej pani, z rozpoczęciem jednym zdaniem na każdej: „Rodzynka jest.“ Muszę na wszystkie świętości przyrzec, że codzień taką jedną kartkę wypełnię i nadam na pocztę. Biuletyny więc o zdrowiu i powodzeniu Rodzynki odchodzą regularnie codzień, aż do powrotu pani. Powitanie ze strony Rodzynki jest wstrzemięźliwe. Tu także objawia się jej opanowanie. — Ma żal do pani za pozostawienie jej samej, uważa więc za właściwe, radości swojej nazbyt nie demonstrować. Tylko sapia jej małe płucka z nadmiaru i sprzeczności wrażeń.

Po chwili jednak zwycięża radość i Rodzynka

szaleje, macha kozły na kanapie, czochra łepk o panią, o fotel, o twarą, drewnianą kieckę św. Barbary. Już zapomniała o żalu i samotności. Tak, Rodzynka jest subtelna i opanowana. Wrażenia mogą jej rozsadzić atmatyczne płucka, ale okazuje tylko to, co uważa za właściwe. No — grand dama.

A rodzynka owoc — toteż owoc niebyle jaki, jak to nam wytłumaczyła jedna z dowcipniejszych pań, śp. Kanoniczka Walewska, wpisując innej starej pannie do sztambuchu:

A gdy na koszu osiadasz dziewczyną,
nie wążp o świecie...
Nie każde grono wydaje wino
rodzynki MUSZĄ być przecie.
Więc niech cię żadne nie martwią plotki,
niech z oczu łzy nie pływają...:
Każdy rodzynek ZAWSZE jest słodki,
zaś CZĘSTO kwaśne jest wino.

Tak sobie świadczyły stare panny. A Rodzynka jest też starą panną i pozostanie nią na wieki. Nie z nadmiaru cnoty, czy braku ochoty na kawalera, ale, że jej pani odrzuca z zimną wżgardą wszystkie małżeńskie oferty: niema w Polsce partji godnej RODZYNKI.

L A L K A

Opowieść niniejsza obejmie historję najdziwniejszego, czworonożnego stworzenia, jakie w mem życiu spotkałem. Początek i koniec jego jest mi nieznany — znany mi jest tylko i pamiętny, początek mojej z niem znajomości.

W roku 1911, przejeżdżałem przez małą, podkarpacką miejscinę Ustrzyki. Żydkowie znali doskonale mój pojazd i znali moją pasję do koni, więc zostałem natychmiast osaczony przez nich:

— Panie dziedzicu, mamy coś dla pana...

Istotnie było to „coś”. Coś niewiadomego, skudłaczanego, brudnego stało w ciemnym, oszalowanym boksie, zamkniętym na dziesięć spustów. Żydek mi wytłumaczył, nie krępując się wcale — bo znał moje zamiłowanie do „warjatów”, że to jest warjatka, że do boksu nikt wejść nie może, że przez górę wrzuca się jej siano, bo „*una odrazu zabije*”, ale pan dziedzic da sobie rady...

Myślałem, że żydek koloryzuje, właśnie dlatego, że miałem opinię kupującego rozmaite warjaty i dummkolery. Skoro jednak spojrzały na mnie oczy tego stworzenia, oczy przerażonej sarny,

która woła o ratunek, bez namysłu zdecydowałem się ją kupić. Wypłaciłem 70 koron gotówką i ku oburzeniu starego mego furmana Jędrzeja — przyzwyczajonego zresztą nie do takich moich końskich wybryków — kazałem ją odesłać do Łobozwy, do siebie.

Skudłaczona „Coś” zostało nazwane LALKĄ, może banalnie, ale doprawdy nie było na świecie żywej, ani sfabrykowanej lalki, równie słusznie noszącej tę nazwę co ona, klaczka niesamowita niewiadomego pochodzenia. Opiekowaliśmy się nią jak małym, chorem psychicznie dzieckiem i po kilkunastu dniach Lalka zaczęła się uspokajać. Znając i ceniąc duszę zwierzęcia, dałem jej przedewszystkiem wolność bezwzględna, do tego stopnia, że boks jej był stale otwarty. Mogła sobie wchodzić i wychodzić ze stajni ile zechciała. Odrazu wyczułem, że ona nieznosi zamknięcia.

Ale ona jeszcze wiele innych rzeczy nieznosiła. Naprzykład zamykania stajni, albo czyszczenia nieznośnej, łaskotliwej i kwiczącej irlenderki MITZI. Ledwo zaczynało się zamykanie stajni, lub ledwo kwikła MITZI, już Lalki nie było. Po dobrej godzinie wracała, że tak powiem, na palcach do stajni, strzygąc oczami i patrząc mądrymi, wprost ludzkimi oczami: zali nieszczęście minęło? — zali miotły przestały się szastać, a źli ludzie dręczyć MITZI? Jeżeli tak, to wracała spokojnie do boksu. Pozwalała się czyścić, ale drżąc jak w febrze, z uszami położonemi, z oczami

mi na wierzchu, nie czyniąc jednak nigdy najmniejszej krzywdy człowiekowi.

Z czasem stała się Lalka ukochaniem wszystkich we dworze — swoich państwa, służby, dzieci, swoich towarzyszy stajennych, a co najciekawsze, całej sfory psów, od foxterrierów, aż po charty i kundysy. Pełno jej było wszędzie, laziła po schodach, po pokojach, żebrząc nóżką o cukier i chleb. Mówią, że zwierzęta tem się różnią od człowieka, że nie znają śmiechu i uśmiechu. Nieprawda — bo Lalka była cała śmiechem, uśmiechem i radością.

Ledwo wyżebrała cukier, gnała do psów na zabawę. Nieraz dokuczyły jej, uszczypnęły w śliczną pęcinkę, w atlasowe nozdrza — Lalka darowywała wszystko, byle się bawić, byle się gonić, byle prowadzić sforę na łąki i w las. Dziwnego tego stworzenia, nikt nie potrafił nie lubić. Nawet piekielnica MITZI, która waliła w śmierć wszystkie konie i gryzła jak tygrys — która miała już na sumieniu niejednego woziwodę, zatłuczonego w domu, lub w raidzie na popasach i wszystkie zresztą moje poharatane kości — nawet ta piekielnica była dla Lalki łaskawą.

Lalka mogła wchodzić do jej boksu, niedostępnego dla nikogo — i wtedy odnosiło się wrażenie, że MITZI cieszy się i bawi Lalką, jak dobry, silny, wyrozumiały człowiek dzieckiem, ufnem i natwmem. A z innemi koćmi, zwłaszcza z folblutem Frosem, była przyjaźń nieograniczona. Raz w cza-

sie bardzo śnieżnej zimy, wybiegła Lalka ze stajni, prowadząc za sobą swój dwór, t. j. Erosa i sforę psów. Poszły w las. Nigdy nie były w paddokach, tylko ganiały gdzie chciały i nikt na folwarku nie zwracał uwagi, gdy tej bandy brakowało

Dobre towarzystwo i tym razem znikło za (podkarpackimi) pagórkami bez śladu, ale po jakimś czasie widzę, że wraca Lalka sama. Zauważyłem, że wpada do boksu i wypada, cała jakaś roztrzęsiona, z oczami w ślup. Zatrzymuje się, jakby bezradna i cwałem, oglądając się ciągle wstecz na nas, leci w świat spowrotem, całem zachowaniem swoim wołając nas na ratunek.

— Coś musiało się stać!... — mówię do furmanów. — Napewno coś się stało Erosowi, bo bez niego nie byłaby Lalka wracała. No i psów także nie widać...

Wbiegamy pędem na płaskowzgórze i widzimy obraz, jakiego już nigdy w życiu oglądać nie miałem. Oto w zaspie śnieżnej, głębokiej, leży zmorłowany, wystraszony EROS — wokół niego siedzą zziębnięte psy, ochryple od naszczekiwania, a nad tem pobożowiskiem Matka Gracchów: Lalka, przerażona, wpatrzona bez tchu w ginącego jej zdaniem, przyjaciela.

Szybko pomogliśmy Erosowi wydobyć się z opresji, a Lalka wtedy, jakby dostała bzika. Jak starsza siostra pocieszająca brata po niemiłym wypadku i dziękująca ludziom, że głupiemu dziecku,

pomogli, podbiegała, wracała, konopasiła się, trącała pyskiem, lasiła się. Po tem zdarzeniu, u całej służby stajennej podwoił się respekt dla Lalki, a na ucho mawiano sobie, że w kobyle pokutuje jakiś duch. Czysty czy nieczysty? — Niewiadomo, ale w każdym razie niekoński.

Tymczasem zaczęły się przygotowania koni do wyścigów rymanowskich. Zaraz pierwszego dnia próby z Lalką, raczej zartobliwej — zdębiałem. Lalka wytrzymała każdy najcięższy galop z najlepszymi końmi i nieobjawiała najmniejszego zmęczenia. Tylko nieuznawała — ani stępa ani klusa. Albo galop, albo nic.

„Coś“ miało charakter nielada, ale „coś“ miało zarazem taki urok, że postanowiłem ją trenować sam. Ciężkie chwile przeżyłem na tem nerwowem, fantastycznym, ambitnem, czasami nieprzytomnem, a tak bardzo mądrym stworzeniu! Ale — nagroda nastąpiła nieoczekiwana.

Przyszedł czas wyścigów w Rymanowie. Był to tor bardzo w Galicji i wogóle w Austrii renomowany — zapisy były liczne, materiał koński dobrowy, zjazd z całej Galicji i nawet Austrii tłumny. Miałem prowadzić moją stajnię — kilkanaście koni — odległość wynosiła 90 klm. Nie było z tem kłopotu -- ale co robić z Lalką, która się nie da prowadzić, ani wiązać? Ku wielkiemu znowu zgorszeniu Jędrzeja i Michała, postanowiłem Lalkę puścić luzem, za taborem koni i powozów, co okazało się doskonałem. Lalka biegła

ochoczo — zaczęła po drodze ludzi — grzebała wdzięcznie nóżką, prosząc każdego o smakołyk, ale prawdziwy cyrk urządziła dopiero na rynku w Sancku. Wpadła bez żenady między stragany z kalarepą, marchwią i jabłkami i prosiła zestrachane baby o dary. Nie ze skąpstwa — ale ze strachu, baby zaniemówiły i nie odpowiadały jej życzeniom — nie chcecie?!? — powiedziała sobie, no to dam sobie radę sama. Mało razy dewastowałam ogród warzywny w Łobozwie?!?

Jakoż i podjadła sobie jabłek i słodkiej kalarepki i marchwi dowoli. Popłoch zrobił się na rynku, bo latała od straganu do straganu, wywracając kosze i wybierając conajsmakowitsze okazy, a kiedy bladym z emocji babom chciałem za spuszczenie zapłacić, roześmiały się:

— A gdzieżbyśmy ta za takiego kunia cudaka brały?!? Toż to tyjater nie kuń...

I jeszcze ta i owa dołożyła Lalce, która łobuzerskimi oczami zdawała się mówić do mnie:

— A widzisz, że mój system najlepszy, że ludzie są dobrzy i jabłka także...

Taka to trjumfatorka, zdobywczyni serc i straganów sanockich, przyszła na słynny tor wyścigowy. Co będzie? W pierwszym dniu był bieg dżentelmeński płaski, dla koni pełnej, półkrewi i niewiadomego pochodzenia. Musiałem startować z wagą 76 klg. na Lalce, która nosiła dotąd tylko 58 klg. Prowadzę ją z rozpaczą w sercu z Rymanowa-Zdrój do Rymanowa-Tor (3 klm.). Lalka

nie chciała biec za wyścigowymi, tylko odrazu znalazła się na przedzie przy powozach, w zamęcie dziesiątków pojazdów, wolantów, breków i land. Biegła tuż za moim powozem, to znowu przed końmi, rozkoszna, rozbawiona, nieprzeczuwająca nic złego.

Nadeszła chwila siodłania i ważenia. Kiedy dosiadłem nieszczęsne stworzenie, obciążone niespodziewanie wielką wagą — zaprotestowała z energią niebywałą. Wyszła na start jak świeca, na dwóch tylnych nogach, wcale na przednie nie opadając, zupełnie obłąkana ze zgrozy. Oczywiście przegraliśmy, Lalka i ja. W trzy dni później — taka sama stawka. Siedem koni shandicapowanych, w czym najlepsze, pod najsłynniejszymi jeźdźcami, jak rekordzista rtm. Folisch, śp. Ulm jak płk. Heinrich (z którym się niedawno na torze w Poznaniu spotkałem) itd. Między nimi małutka Lalka, ale już pod normalną wagą. Wszyscy zaczęli kpić z mojej kobyłki — z drobnej, niewiadomego pochodzenia, nerwowej, skompromitowanej pierwszego dnia wyścigów Lalki.

Kpijcie sobie zdrowo!!... ja wierzę w Lalkę, bardziej niż w resztę mojej stajni, podówczas wcale dobrej... I — niedaremnie wierzyłem. Lalka jak chciała, na przestrzeni 2,400 metrów zdystansowała wszystkie konie, o najmniej 20 długości! Może jej coś bezwiednie szeptałem do ucha, jak Karol May swojemu Rihowi — może Lalka zrozumiała kpiny współzawodników, dość, że wyteżyła

wszystkie muskuły, a przy ostatnim zakręcie na prostej, zrobiła taki fenomenalny rutsch, że widziałem po bokach odpadające konie inne, jak słupy telegraficzne, mijane pośpiesznym pociągami.

Zwyciężyła Lalka bezkonkurencyjnie, w niebywałym czasie i klasie, ku mojej radości, ku osłupieniu sportowców, a ku zachwytowi pań i dzieci. Po biegu i odpoczynku, zaproszono Lalkę do miejsc wśród publiczności, a że Lalka nie padła z przejedzenia się słodyczami i szampanem, to także łaska boska. Potem, syta chwały i zabawy kobyłka, pobiegła luzem za końmi do Rymanowa-Zdrój, a myśmy zasiedli do przyjacielskiej pogawędki i zapijania zwycięstw w Kurhauzie. W pewnej chwili wchodzi staruszek ksiądz — zbliża się do naszego stołu i pyta się o mnie o właściciela Lalki. Kiedy mu się przedstawiłem, rzucił mi się na szyję.

— Panie dobrodzieju, łaskawco kochany! Lalkę znam od paru dni — codzień chodzę do niej do stajni i cukier temu cuceńkowi noszę i po pyseczku całuję. Wierzyć nie chciałem, aby ten filigranek dobiegł chociażby ostatni do mety z tamtymi tygrysami — a tymczasem, Panie Jezu Nazareński! — ona nabiła wszystkich i jak!!! Czekałem na nią na drodze powrotnej z toru — zawołałem — zaraz podeszła — dałem jej znowu cukru, obcałowałem i spłakałem się, żegnając. Niech mi pan

dobrodziej, staremu, obieca, że jej w obce ręce nieda i nie pozwoli nikomu skrzywdzić...

Uściskaliśmy się znowu i niejedną lampeczkę wina za zdrowie Lalki wypili, ale sądzone było z Lalką inaczej. I skrzywdzili ją i w obce ręce poszła.

Tymczasem odesłałem ją koleją wraz z transportem koni na drugi mój majątek Strutyn, leżący pod Złoczowem. W dwa dni przyjeżdżam tam na dworzec sam i pytam furmana, jak transport doszedł? Po rzadkiej minie Michała poznaję, że nie wszystko w porządku. A że Lalka była mi oczkiem w głowie, pytam zaraz z trwogą o Lalkę.

— Wszystko dobrze, panie dziedzicu, ino z Lalką źle. Jak przyszła — wzięła się wachać. Powąchała nowe stajnie, nowych ludzi, nowe boksy i — po...szła! Tyleśmy ją widzieli! Nie chce wrócić. Gania od dwóch dni po lesie, po polach, podchodzimy do niej, ale nie da się zbliżyć. Ani do cukru ani do jabłek, ani do Erosa nawet. Niespodobało się jej i koniec.

Każę z dworca wprost jechać na łąki, względnie do lasu. Może będzie koło leśniczówki, gdzie ją ponoś raz widzieli? Istotnie jest, Zdaleka widzę jej drobny, nerwowy, suchy korpusik i śliczną głowę z łysiną, nachyloną ku trawie. Wstałem na breku i krzyknąłem:

— Lalka...

Obejrzała się, zastrzygła uszami, namyśliła się i pięknym, krótkim galopem podbiegła do mnie

i już za moim głosem, spokojnie, przyszła na nową siedzibę do niezaaprobowanej stajni. Teraz ją zaaprobowała, rozgościła się i znowu, jak w Łobozwi, hulała z psami i końmi. Rozkochani w niej byli moi sąsiedzi. Jeden z nich, Leon Kopczyński ze Suszczyna, zaczął mi perswadować, że stada nie prowadzę, że szkoda takiej cudownej klaczy nie wziąć na matkę, że to napewno jakaś skradziona na Węgrzech przez żydków dobra krew i — póty tłumaczył, póty molestował aż — oddałem mu Lalkę, z tem, że będzie jej jak u mnie: wolność zupełna, ludzkie obchodzenie i placet na wszystkie pomysły i kaprysy.

Wiedziałem, że Leon Kopczyński dotrzyma, zresztą często do niego dojeżdżałem. Lalce było jak w niebie — ale wybuchła wojna. Wojna zabija ludzi, wojna zabija konie. Cóż dopiero takie filigrany, takie pajęczynki, takie cuda z nerwów, inteligencji, wrażliwości i mięśni jak Lalka?!?

Toteż pierwszy patrol rosyjski ją porwał i nikt się już nie dowiedział, jaki kozak strzelił jej w śliczny łeb, między śliczne sarnie oczy, bo że tak się stało, nie ulega wątpliwości. Lalka do końca nie zносиła innego jeźdźcę prócz mnie (bo nawet Kopczyńskiego zrzuciła) i nie umiała chodzić ani klusem, ani stępą. Bezprzestanny galop wyścigowy, i stawanie dęba, nie mogły się podobać kozakowi — a może ją rzucił gdzieś między pobożnikami?

DWA PSOTNIKI

*Wzmiankowanemu tu PREZESOWI
i rogole całej familji — na pamiątkę
dobrych czasów.*

I

J A K Ó B

Wiadoma rzecz, że gdzie dwóch się kłóci, tam trzeci korzysta. Osobiście niedoświadczyłem mądrości tej maksymy, bo kłóciłem się całych 11 lat z moją ekszoną i kto na tem zyskał?! Tyle tylko, że każde z nas każdorazowo odczuwało ze swojej strony głębokie zadowolenie, że ma rację. (Rację miałem zawsze ja — oczywiście). I to zadowolenie było jedyną widomą korzyścią w całym interesie.

Inna rzecz Zoolog. W moim prywatnym Zoologu w Sierosławiu, przysłowie to miało pewne uzasadnienie. Kiedy się dwa psy gryzły o kość, napewno zmiótł ją trzeci kundys. Gdy się dwa koguty biły o głupią kurę — napewno zdobył ją trzeci, choćby był najfantastyczniejszą kogucią pokraką na podwórzu. Tak też spełniło się przysłowie i na losach Puseka i Jakóba.

PUSEK był pięknym, krępyim okazem makaka

jawańskiego, a JAKÓB był poprostu sroką. Od-
kąd świat światem, nigdy małpa nie odczuwała
sympatji do jakiegokolwiek skrzydlatego stwo-
rzenia — nic dziwnego tedy, że Jakób był celem
wszystkich złośliwości Puseka, a Pusek wyraż-
nem pośmiewiskiem Jakóba. Jakób zadzierał
lśniący łepok i ryczał wprost z uciechy, kiedy
małpie się nie udał jakiś skok, lub figiel, a Pusek
gdzie mógł dopadał Jakóba i bezmiłośnierze wy-
skubywał mu ogon — pomyślcie... ogon!!! naj-
większą chlubę sroki...

Nie było więc nigdy rozejmu między nimi, ni-
gdy zawieszenia broni — noc jedynie przynosiła
spokój, jako że i ptaki i małpasy — na nasze
szczęście — wcześniej chodzą spać. Jakób czuł się
panem sytuacji o tyle, że wcześniej zjawił się
w Sierosławiu niż Pusek — ale to pierwszeństwo
niewiele pomagało, moja interwencja także. Prze-
ciwnie, im bardziej się do tych awanturników mie-
szałem, tembardziej się przedemną popisywały.
Pierze leciało, małpa skrzeczała, sroka skrzeczała,
psy wyły wokół unisono — tylko koty przeciągały
się leniwie i udawały, że nic nie widzą i nic nie
słyszą. A nazajutrz tamte dwa łobuzy, jakby się
prześcignąć chciały w pomysłach i psotach. Sąd-
ny dzień. Czego nie ukradł i nie stłukł w domu
Pusek — to napewno skradł, lub potłukł Jakób —
kogo nie ugryzła, lub nie uszczypnęła małpa, to
napewno podziobała i podrapała sroka. Nawzajem

się dopingowały, a dom cierpiał, zapowietrzony
do cna.

II

PORZECZKI I PCHŁY

Jakób jednak czynił wszystko dobrodusznie,
z humorem, z wesołą przekorą, z dowcipem uj-
mującym i dziecinno-figlarnym — małpus zaś,
z pasją namiętą i złośliwą, z bezczelnym i do-
kuczliwym uporem, z arogancją niemożliwą.
Trudno, niedarmo jest tak blisko z człowiekiem
sparantelowany.

Kiedy przyjeżdżał jakiś gość o zaniedbanem
uwłosieniu, nie było dla Jakóba większej radości.
Momentalnie wskakiwał jegomościowi na głowę
i czał się. Długo się czał, przykucał, aż w koń-
cu... łup!! i — wrywał włos. Nieomylnie. Ten
jeden, ten ostatni, z takim ferworem, jakgdyby
włos uciekał przed nim i najwyższy czas było
koniec nieprzytomnej ucieczce położyć. Namięt-
nie uprawiał ten sport Jakóbek, ale nie mógł po-
wiedzieć, żeby się te olimpiady szczególnie go-
ściom podobowały. Toteż ostatni krety nawet
zauważył, że coraz mniej bywało w Sierosławiu
ludzi łysawych.

Wtedy pomyślał Jakób o innej zabawie. Zaczął
buszować po gościnnych pokojach na piętrze. Na-

sze zwierzęta dodać trzeba, były o tyle dobrze wychowane, że zajmowały się tylko gośćmi, więc też dlatego Jakób obrał sobie za teren działania gościnne pokoje. Wypatrzył raz poręczki na talerzyku, na szafce nocnej, przy łóżku starszego pana. „Starszy pan“, Stanisław Colonna Walewski, na swoje nieszczęście sypiał przy otwartym oknie — skoro więc tylko świt zaróżowił niebo, Jakób spłynął cicho na parapet okna i długo coś majdrował przy talerzyku z poręczkami, a kiedy starszy pan wstał i bose nogi wsunął w pantofle — zmartwiał. Coś ślizkiego, mokrego, oblepiło mu stopy.

— O rany!!! co za dom!!!

W pantoflach były warstwami poukładane poręczki.

Podobne zdarzenia nie wyrabiały domowi, skądinąd gościnnemu i przyzwoitemu — dobrej opinii, tembardziej, że i służba miała specyficzne poglądy, to jest zachwytywała coś z repertuaru pani domu, raczej kwaśnej z usposobienia, i na swój sposób serwowała gościom. I tak kiedy raz jedna z przyjezdnych hrabin, bardzo dystygowana, spytała, czy psy, których chmara włóczyła się po domu, niemają przypadkiem pcheł? chłopak kre-densowy naiwnie odpowiedział:

— Czasem majom, ale to nie jeich pchły...

— Jakto nie ich?!?!?!?

— Ja tam nie wiem, proszę pani hrabiny, ale

pani dziedziczka mówiom, że jak som pchły, to od gości...

Słowem, oplakane stosunki.

III. NARUSZONA KONSTYTUCJA

I nie było na to rady, bo nieszczęścia toczyły się jedno za drugim, jak lawina. Psy trzymały sztamę z małpusem. Jego brutalne karesy i zawa-djackie figle, przypadły im do smaku — najmniej wyżłom, jako że mają czuły węch, a afrykańskie, małpie Houbigandy nie należały do najwyższych. Jednak w nienawiści do Jakóba, solidaryzowały się i wyżyły z Pusekiem. Bądź co bądź natura nauczyła legawca, jakie twory ma tępić, jakie omijać, a jakie zachować. Nikt wyżła mądrego nie objaśnia, że zajaca ma wystawiać i bażanta i kuropatkę i dziką kaczkę, a broń Boże nie swojską kaczkę, czy domowego królika, względnie gołębia.

On wie to z dziada pradziada, a także i to, że jastrząb, że wrona, że sroka, to wróg—więc jakże mu miło było spostrzec, że jeszcze jedno w domu stworzenie ma tesame co on poglądy na srokę. Przy mnie nie śmiał legawiec i warknąć nawet na Jakóba, ale czułem, że za plecami moimi waruje nieraz godzinami lub „*roystarwia*“ nieszczęsną srokę, spacerującą mu z naiwną fanfaronadą pod nosem. Djabli go brali, temwięcej, że Pusek pod-

judzał ustawicznie, drąc ogon sroki, ciągnąc ją za łapy, wśród niebywałego zobopólnego wrzasku.

Małpa śmierziała to fakt, ale małpa nie figurowała w wyżłim dziedzicznym wokabularzu — do Afryki nigdy nie jeździł pocziwy Barkas—więc ostatecznie machnął na małpę ogonem. Ale obecność sroki wyprowadzała go z równowagi, gnębiła i obrażała głęboko. Co tu gadać! Psie prawo zostało sponowane — nieraz jeden zresztą, bo i kania-jastrzębica spacerowała po fortepianie i sarna rozwalala się po kanapach i świnki morskie plondrowały po dywanie — czysta obraza boska w mniemaniu Barkasa, pełnego obowiązkowości, statku i poszanowania dla tradycji i wyżłego kodeksu.

Sarna i jastrzębica nie patrzyły w jego stronę — zezował czasem tylko zdaleka orzeł-błotniak — ale Jakób prowokował bezprzestannie. Był na tyle bezczelny, że kiedy Barkas uciał sobie drzemkę na dziczej skórze pod moim biurkiem — Jakób skradał się i — cup! wyrywał sterczący, siwy włos tuż nad brunatnym nosem. Takiego despektu przecież darować nie można, ale nie bałem się o skórę Jakóba, gdyż wierzyłem w karność Barkasa, nie licząc się niestety z demoralizującym wpływem małpy. I — przeliczyłem się. Pewnego popołudnia wpada do mnie ogrodnik i mówi zdyszany:

— Barkas zjadł Jakóba. Jakób się darł z małpą, Barkas ino patrzył i warował, aż raptem giez

go ugryzł czy co? bo skoczył i zgryzł srokę. Ani zipła.

Wybiegłem na podwórze i zastałem taką sytuację. Małpa siedząc na sztachecie, pracowicie obskubywała małwy — foxterriery, romantycznie zgrupowane wokół, zaaferowane, a Barkasa ani śladu — tylko na płycie kamiennej, z paru kropelkami krwi przy dziobie, leżał Jakóbek.

IV. ZA DUSZĘ JAKÓBA

Załamałem ręce. Nie żył już, ale nawet w tej chwili, miał swój wesóły, łobuzerski, naiwnie figlarny wyraz. Nie miał nawet czasu się żdziwić, że niewinne jego igraszki dziecinne, mogły być komuś tak dalece nie w smak, iż trzeba będzie za nie życie młodziutkie poświęcić.

Jedna z nabożnych moich ciotek, która bardzo srokę kochała, a poza tem wyznawała jakąś skomplikowaną religję (podobną wedle zdania mojej exżony do sałatki francuskiej), dała nazajutrz zacnemu naszemu proboszczowi na mszę „za duszę Jakóba“, a kiedy śmiałem powątpiewać, czy ksiądz może odprawić mszę za duszę ptaka, odburknęła ciotka:

— Głupię. Albo ksiądz będzie wiedział, że Jakób to ptak?! Zresztą wiesz, że twemu nieboszczkowi wujowi, także było Jakób...

Zaniemówilem. I tak odbyła się msza na inten-

cję Jakóba, ale życia nie wróciła małemu łobuzowi, ani nie odeгнаła go od dworu. Mówili ludzie, że jego ptasia duszyczka wciąż krąży po domu, zagląda w okna i zbytkuje. Myślę jednak, że to bajki, bo nigdy już starszy pan nie znalazł porzeczek w nocnych pantoflach, ani nikt razury nie uprawiał nad łysiną gości, a Jakób wszakże, nawet w stanie „zaziemskim“ nie wytrzymałby bez psot.

V. MÓJ CZŁEKOKSZTAŁTNY PRZYJACIEL

Zastąpiła go teraz małpa na całym okupowanym terenie. Marzyłem długo, aby mieć taki człekokształtny okaz, w kolekcji moich tworów. Nareszcie, via ogród zoologiczny w Poznaniu, sprowadziłem ją sobie z Hamburga. Przyjechała z honorami i wszelkimi ostrożnościami, w dzień lipcowy. Dwie klatki na nią czekały, pokojowa i ogrodowa, na dwa metry wysokie — czekały też nieprzebrane zapasy owoców, marchwi i kalarepek, bo każdy obywatel Sierosławia czuł się w obowiązku przynieść coś dla przyjeżdżającej małpy — ktoś przyniósł nawet kawałek paprykowanej słoniny i porcję węgorza w galarecie.

Wpuszczona z paki do klatki, okazała się małpa niewychowana, złą, dziką, nieufną. Na nas wszystkich pluła i fukała, ale zapasami zainteresowała się żywo. Ledwo się jednak odwróciłem

i wszedłem z werandy do pokoju, sprowadził mnie wrzask spowrotem:

— Małpa uciekła!!!!

Istotnie siedziała już na najwyższym, niedostępnym kasztanie, ledwo widoczna w pióropuszu liści. Ten co węgorza w galarecie jej przygotował, uważał, że za mało jeszcze prowiantów w małpiej klatce, otworzył więc drzwiczki, aby wsadzić garść strączków, a małpa, najedzona do syta, tylko na to czekała, aby mu buchnąć między nogi na mur werandy, a z muru na drzewo. Oczywiście wieść się momentalnie rozeszła po okolicy, że małpa w parku na drzewie, więc zaczęły niezliczone tłumy ściągać, niby pod pozorem łapania zwierza, przyczem jednak nikt się z łapaniem nie kwapił. Deptano tylko rabaty i gazony i rajcowano.

Akurat żniwa były w pełnym toku — stanęła cała robota, bo zaciąg robotników i bab z czworaków dworskich, wiecował z zadartymi głowami pod nieszczęsnym kasztanem. Od czasu do czasu odskakiwał tłum gwałtownie: to małpus aplikował złośliwego dyngusa. Potem znowu walny sejm wracał na posterunek i rozmyślał. Minęła godzina, dwie, zaszło słońce za niezżętym łąnem, a żniwiarze, fornale i służba domowa tkwili pod drzewem. Wreszcie któryś młokos zebrał się na odwagę i przy akompaniamencie śmiechów i do-cinków — błogosławiony przez matkę, jakby

szedł naprzeciw watahy kozaków orenburskich, zaczął się drapać na drzewo.

Zrobiła się cisza. Słysząc było tylko sapanie bohatera i głośnie, demonstracyjne westchnienia załobnicy, matki Grachów, która oto syna dla dobra ludzkości (nie gardząc i napiwkami) poświęciła. Syn znalazł się wreszcie u szczytu i sięgnął po groźnego zwierza. Po chwili dramatycznego napięcia, usłyszeliśmy wrzask chłopca i zobaczyli, jak małpus wielkim łukiem przeskoczył z kasztana na lipę.

— Czegoś puścił, walkoniu jeden?!? — huknął ogrodnik.

— Po mordzie me dała... — buczał chłopak.

Noc zapadała. Musiałem wyjechać za interesami do Poznania, obiecałem więc tylko podwoić nagrodę za złapanie uciekiniera, przykazując, aby pozostawiono klatkę otwartą i zaopatrzoną w najwykwintniejsze małpie frykasy, na ogrodzie. Przy klatce niech ktoś sprytny dyżuruje, sznurek uwiązawszy do drzwiczek klatki. Koło południa otrzymuję w Poznaniu telefoniczny biuletyn:

— Małpus zgłodniał nad ranem i cichcem, oglądając się, wlaźł do klatki, znęcony pękiem świeżych czereśni. Czatujący tylko na to ogrodniczek, schowany w krzakach, pociągnął za sznurek i zatrzasnął gwałtownie drzwiczki. Małpa była uwięziona — wiwat!!!

Żniwa mogły się rozpocząć na nowo, a ja pró-

bować rozmaitych środków pedagogicznych w stosunku do małpusa, który stał się jeszcze dzikszy i zły. Nie pomagały jednak wszelkie środki i argumenty — trzeba było zacząć z innej beczki. Poświęciwszy tedy całość mojej drogocennej fizjognomji, ręk, garderoby ect. wlaźłem do klatki i stanąłem jak posąg przed zdumionym i, w pierwszej chwili, wystraszonym małpusiem. Przyglądał mi się dobrą chwilę i, raptem, najbezcelniej, skoczył mi na ramiona. Tylkami nogami objął mnie za szyję, a przednimi zaczął gmerać w sposób wielce podejrzany w moich kudłach. Ani drgnąłem — przygotowany na najgorsze. Zresztą, skoro tylko mimowoli się poruszyłem, małpus gryzł mnie bezlitośnie w ucho i groźnie wykrzykiwał.

Sytuacja stawała się niemiła, bo i wilgotno zaczęło mi się robić za kołnierzem — dałem tedy drapak. Nazajutrz, powtórzyłem próbę, usiłując małpę pogłaskać. Dała się głaskać — trzeciego dnia już się wdzięczyła — czwartego założyłem jej uprządkę i wyprowadziłem na łańcuchu na spacer. Z miejsca zaprzyjaźniła się ze sforą psów, których było przeszło 20 sztuk i które odnosiły się do niej, jak do małego, psotnego, nieco zagadkowego dziecka półludzkiego.

Psy były wszystkie rasowe, importy, z rodowodami bardziej skrupulatnymi, niż sam Hitler wymaga — ale do moich foxterrierów ze słynnej belgijskiej psiarni OBOTRITIA, sąsiedzi przesyłali

od czasu do czasu suczki pożał się Boże — fantastyczne krzyżówki, jak Niemiec powiada: „eines Nachtkastels mit einer Zahnbürste“. Mandrill, głowa domu Obotritiów, nosem nie kręcił a z tych konkubinatów wynikały niezwykle wybryki natury, do psów raczej mało podobne. Psy te przesyłano mi, bywało, jako wyraz wdzięczności — taką drogą też znalazła się u mnie zdecydowana plebejka OSA, suczynka bardzo łaciata i fertyczna, lecz z punktu widzenia hodowcy foxterrierów, czysta obraza Boska. Osia żywiła w sercu egzotyczną miłość do Puseka, a Pusek bawił się z nią chętnie, choć ją traktował bagatelnie, przez ramię. Kiedy przycisnęła go już Osia zbyt do muru, nigdy Pusek nie rejterował na drzewo od razu, choćby już był czas najwyższy. To się sprzeciwiało jego zasadom. Pusek musiał się najpierw zemścić, za zanedbano daleko idącą poufalość Osi. Robił więc wypad niespodziany, rodzajem chwytu Nelsona przewracał Osię — wyszczypał i wybił po pyseczku zdumioną suczynkę i wtedy dopiero, kiedy Osia zamieniała się w słup soli z wściekłości i oburzenia — wskakiwał na szczyt drzewa. Pusek był mściwy — gniewało mnie to, ale moja ex-żona (teraz terminologia „żona“ wyszła z mody), odznaczająca się małą dozą uprzejmości, prosiła moje poglądy:

— Tępa głowo, czy ty nigdy nie zrozumiesz, że tzw. mściwość, to jedna tylko z form poczucia sprawiedliwości i jej wymiaru? Ustawodawstwo

ludzkie nie godzi się na wymiar sprawiedliwości indywidualny i doraźny, ale zwierzęta są mądrzejsze. Pusek się nie mści, Pusek poprostu wymierza sprawiedliwość.

Nie godziłem się oczywiście na ową „tępą głowę“, ale na tezę mojej ex-żony tak, bo ostatecznie, cóż by powiedział taki pan sędzia w Poznaniu, gdybym był przyszedł od niego ze skargą Puseka na złośliwość psią czy ludzką?!? Zaś ale überhaupt „wyćpił“ by mnie za drzwi. Cóż więc pozostawało innemu Pusekowi, jak karać doraźnie, wedle własnych kodeksów karnych?

Raz naprzykład przybył do mnie konno pewien poznaniak — mówiąc nawiasem endek, w olśniewających pryczach. Stał przed klatką Puseka rozmiarów szafy i dalejze droczyć, szturkać pejcem ect. Pusek zachowywał się z godnością, milczał. Wiedziałem, że to się źle skończy, ale milczałem także. Nie mieszałem się nigdy do interesów Puseka. Nagle — widzę, jak z szybkością błyskawicy, wycelował Pusek w miejsce, w którym „oczko“ w siatce klatki puściło — schwycił za rajtuzy endeka, przez tenże otwór, i — piorunem odgryzł wciągnięty w ten sposób kawałek pryczów, razem z podszewką i całem dessous, tak że zrozpaczonemu endekowi pozostał na kolanie pięknie wycięty pieniążek koloru nieprzyzwoicie „cielistego“.

Moja ex-żona twierdziła, że to jest dalekie echo średniowiecznego piętnowania zbrodniarzy (ona

by zresztą każdego endeka piętnowała). Możliwe. W każdym razie Pusek miał wybitne poczucie sprawiedliwości, oraz konieczności wymiaru kary. Życie jego jednak było daleko bardziej skomplikowane od życia psa. Musiał on bowiem zmieścić w ciasnych rameczkach swoich możliwości, ogromne obszary myśli filzoficznej, kulinarnej, prawniczej ect. a pies? Pies umiał tylko kochać swego pana, ewentualnie tęsknić za nim — ewentualnie nienawidzić jego nieprzyjaciół.

Mimo to ukształtowały się stosunki między małpusiem a psami, kiedy go ostatecznie spuściłem z linewki. Pierwszy raz puszczonej wolno, sprął z radości wszystkie psy po kolei — przejechał się wokół gazonu oklep na wyżle — urwał sroce kilka piór z ogona — stłukł wazon z jakimś rododendronem na werandzie i huśtał się na gałęziach, no i co gorsze na portjerach w bibljotece, rozkosznie kwicząc. Psy wpatrzone w te dzikie harce, wyły i szczekały, dręczone niepewnością, w której chwili zsunie się nieobliczalny stwór z gałęzi, czy karniszu, na ich łby. Foxteriery odchodziły od przytomności z zachwyty. Potem banda szła za mną przykładnie, na spacer, na folwark i do lasu, a że las łączył się z parkiem, więc spacerowały dalekie i urozmaicone. Ten wrzask, który towarzyszył odtąd moim wycieczkom, nie da się z niczem porównać. Co chwila małpidrag zbił któregoś kundysa na kwaśne jabłko — co chwila uszczypnął jakąś babę, idącą szosą z miastecz-

ka i wywalał zawartość jej koszyka na piasek — co chwila naciągnął któremuś foxterrierowi kusego ogona, więc lament babski, utulany zresztą złotówkami — skomlenie psów, naszczekiwanie i jęk, rozlegały się wokół.

VI. TRAGEDJE, NAD I PRYZIEMNE

Najgorzej jednak działo się na podwórzu z drobiem. Ku szczeremu aplauzowi psów, małpus zabierał się energicznie do kur, indyków i kaczek. Rozpędzał je, ganiał, targał za skrzydła i grzebienie — słowem robiło się piekło na ziemi, bo wszystko darło się na swój sposób, niewykluczając i klucznicy, najbardziej obrażonej z całego towarzystwa. Zabawa ta, acz przydługa, kończyła się raczej niewinnie: migreną u gospodyni i kupką wydartego pierza i piór na podwórzu.

Po kurnikowej batalji,omalże nie codziennej, przenosiła się cała banda na ogród warzywny, to znaczy tylko małpa przeskakiwała wysoki mur, dzielący podwórze od ogrodu, a psy obsiadały go i czekały merdając ogonami, trochę zachwycone, trochę zgorszzone, na powrót awanturnika. On tymczasem zabierał się przede wszystkim do ogórków. Narwawszy i naniszczywszy co wlażło, szedł do truskawek, potem zaglądał do inspektów i gmerał pod podniesionymi szybami, ku furji znowuż ogrodnika. Nie pomagały krzyki i per-

swazje, a nawet dość nieprzyjemna sikawka ogrodowa nie wywierała wrażenia, bo jako się wyżej rzekło, następowała potem krwawa zemsta — kompletna dewastacja całych połaci ogrodu. Najadłszy się tedy bezkarnie ponad wszelką miarę, małpus wlaził na drzewo owocowe i stamtąd mścił się na ogrodniku, o ile nie było sikawki, dość łaskawie. Ciskał weń tylko conajcenniejszymi okazami jego produktów — wreszcie syt chwały i zemsty, wracał do domu — stale zeska-kując z muru ogrodowego na grzbiet któregoś z oczekujących kundysów, aby wjechać pełnym galopem, trjumfując na werandę.

Od czasu do czasu przypominał sobie, że trzeba złożyć wizytę kucharzowi. Wolnym, niewinnym kroczeniem wchodził do kuchni, bo jednak trochę mu imponował ogień buzujący pod blatem kuchennym i podejrzenie syczące i kipące garnki i rondle. Ledwo wszedł — blady strach padał na obecnych. Każdy wiedział, że nie było wizyty małpiej bez smętnych jakichś i nieprzewidzianych dla personelu i statków konsekwencji. Pusek tymczasem siadał grzecznie i dystygowanie na brzegu stołu, jak amerek na gzymsie kominka. Wtedy zaczynało się przekupywanie potwora. Podchodziła klucznica i z wdziękiem, dwa kroki wprzód, dwa w tył — podawała małpusowi zeszlotygodniowe ciastko. Jak na klucznicę, djabelnie skąpą, było to i tak bardzo dużo. Pusek brał ciastko, obwąchał dokładnie i rzucał pogardli-

wie na podłogę i fiksując klucznicę, zaczynał groźnie stołem potrząsać. Jeżeli na stole stały jakieś słoiki, czy szklanki, rzecz zapowiadała się dramatycznie.

Czempredzej wtedy klucznica nabierała marmelady, oczywiście tej nieco nadpleśniałej i podawała na długiej łyżce obrażonej małpie. Jeszcze gorzej! Małpus dawał susa na podłogę i obrywał fartuch klucznicy, która wówczas, półprzytomna z przerażenia rejterowała za drzwi spiżarni. Akcja porzechodziła do rąk kucharza. Ten w przeciwniejskie do klucznicy uważał, że niema nic dość cennego, czemby nie warto było małpy przekupić i wyprosić za drzwi. Najlepsze ciastko, najdelikatniejszy serek śmietankowy, najcudowniej udany krem ananasowy, najefektowniejszy ornament tortu, wszystko poświęcał, byle małpa znikła z horyzontu. Klucznica zaglądała niespokojnie przez szparę w drzwiach, czy aby kucharz nie przechodzi w rozrzutności, a małpus brał kolejno łaskawie, co było najwymyślniejszego i łykał szybko, wypychając sobie woreczki pod brodą, jak balony, poczem obracał się na pięcie, od niechcenia strącił „dla śpasu“ jakąś rynkę i wychodził. Zazwyczaj siedł do młocarni. Efekt szalony! Gdy się z hukiem nieco oswoił — rozpędził raz wszystkie robotnice i został sam, na tzw. stole młocarnym. Trjumpf był zupełny, tembardziej, że psy patrzyły z dołu z niedowierzającym podziwem. Pusek zaglądał w czeluści maszyny, dziwował się

kręcącym kółkom i trybom, ale w końcu sprowadzono mnie do pomocy i pięknej zabawie położyłem koniec.

VII. ŚWIĘTY ANTONI I PANI APTEKARZOWA

Wszystkie zamki, klamki, drzwi, szuflady, nawet z klucza, umiał Pusek otwierać — często więc znajdowano na gazonie ołówki, kałamarze, popielniczki, książki, notatki i barwne części garderoby męskiej i damskiej. Najgorzej było, kiedy sobie zapóźno przypominałem ku wieczorowi, że małpus jest na wolności, i nie zdążyłem go zamknąć na noc do klatki. Układał się bowiem do snu wśród drzew, wysoko i niesposób było go już odnaleźć. Wtedy przebudzenie nasze i naszych gości, było pełne gorzkich niespodzianek.

Przyjechała pewnego razu stryjenka — wielka zresztą przyjaciółka zwierząt. Sypiała, los chciał, przy otwartym oknie, systematycznie sobie wszystko z wieczora przy łóżku układając, a więc torebki, zegarek, zapalki, sweterki. Rano, zbudziwszy się, zauważyła brak zegarka. Cud — nic tylko cud! bo służba nasza zbyt stara i wypróbowana, aby kogokolwiek z niej posądzać o defraudację. Nic zatem tylko cud. Klucznica doradzała krótką nowennę do św. Antoniego, względnie przyobiecanie mu świeczki. Kucharz, w stałej

wojnie z personelem służbowym, mruczał o policji — ja zaś najspokojniej poszedłem inwigilować małpę. Ktoś mi zameldował, że manipulowała o świcie na dachu, potem wzdłuż gzymsów na piętrze. I co dalej? Potem widziano ją na jaworze koło drobiu. Za nitką do kłębka, dotarłem do zegarka pod jaworem. Święty Antoni nie dostał świeczki, tylko małpa dostała w skórę.

Skargi i narzekania na Puska mnożyły się i stawały się już obłędem. Doszło do nagminnej psychozy, bo cokolwiek się stało, wszystkiemu był winien Pusek. Klacz poroniła — naturalnie Pusek winien, bo kobyła się zestrachała. Młocarnia stanęła — Pusek winien, bo długo majstrował przy niej. Pieczeń się przypaliła — Pusek winien, bo kucharz się zagapił. Kury się nie niosą — Pusek winien, bo je gania i ciąga za ogony, a kura wiadomo delikatna i honorna. Córce wóldarza zdarzył się wypadek, nawet i tu, wbrew wszelkim pozorom, Pusek winien:

— Bo, proszę pana dziedzica, kiedy się dziewczucha małpy zestrachała, wpadła do stodoły, a tam był akurat tyn Antek, tyn zbereźnik, no i siano było...

Pani Aptekarzowej z miasteczka urodziło się jakieś nieforemne dziecko? także Pusek winien, bo kupowała ponoś osobiście w Sierosławiu flance truskawowe pani Aptekarzowa i... zapatrzyła się. Któż mógł odgadnąć, że była w błogosławnym stanie?

VIII. SPONIEWIERANI DYGNITARZE

Okropność!... Całe szczęście, że jeszcze rozmaitych wypadków natury politycznej nie przepisywano Puskowi, choć i figurom urzędowym potrafiła zalać sadła za skórę. Kiedy przyjechał raz pan Komornik, bryczką, interesów Kasy Chorych chcąc dochodzić, odjechał z niczem, bo Pusek siedział przed samym domem i co się komornik ruszył z bryczki, to małpus szczerzył zęby i takie grymasy stroił, że sam Napoleon by zrejterował. Panu Ministrowi Staniewiczowi także raz narobił rozmaitych brzydkich propozycji, w języku na szczęście przez pana ministra niezrozumiałym.

Goście, nim wyszli rano z pokoju, pytali trwożliwie, czy Pusek zamknięty, a kiedy raz w czasie mojej nieobecności, powiedziano, że małpus siedzi na dachu z brzytwą skradzioną w łapie, goście siedzieli pół dnia zamknięci na cztery spusty na piętrze, okna pozasłaniawszy i zabarykadowawszy drzwi komodami i szafami. Nigdy nie byłem tak entuzjastycznie witany w własnym domu, jak wtedy. Prostu na rękach mnie własni goście nosili, ale o ile mnie pamięć nie myli, tej grupy ludzi nigdy już więcej Sierosław nie oglądał, oprócz jednego z nich, prezesa, który węzłów bliskiego, a fatalnego jak się okazało pokrewieństwa, nie mógł z racji małpy zrywać. Prezes — to była ofiara nad ofiary! Wszyscy się w domu cieszyli, kiedy przyjeżdżał, ale wszyscy się na niego sprzy-

sięgali. W pokoju zastawał sążniste napisy, pięknym rondem wykaligrafowane:

1) Uprasza się nie obrywać guzików u koldry, ani przyszywać ich do własnej kamizelki.

2) Uprasza się nie zaczepiać młodych pokójówek.

3) Uprasza się nie wycierać butów, względnie nosa w firanki.

4) Uprasza się nie naprawiać parasola strunami z fortepianu.

5) Uprasza się nie dobijać nogami i kolanami do ustronnej ubicacji, o ile jest od wewnątrz zamknięta.

Kiedy Prezes ucinał sobie poobiednią drzemkę, wtedy napewno grzmiały dubeltówki pod jego oknem, do nieistniejącej wrony, kiedy zaś pytał w salonie swojej żony, czy jej biedactwu nie zimno — zawsze ktoś wstawał i ostentacyjnie zatykał watą wszystkie dziurki od kluczków w drzwiach.

— Co wy robicie?!? — pytał Prezes nieufnie.

— Ach nic! Boimy się tylko, żeby na Halkę nie wiało...

Kiedy depeszował, że przyjeżdża, nieomieszkając prosić o karetę, żeby się żona nie zaziębiła, posyłało się tzw. „*plaukę*“, narodowy pojazd poznański, harhare rozmiarów Barbakanu krakowskiego, z trudem przez cztery konie z miejsca ruszaną i wyścielano ją pierzynami, baranicami, poduszkami, kocami, dekami, koldrami watowane-

mi, pikowanemi i puchowemi, choćby to był lipiec i termometr wskazywał 40° powyżej zera.

Para przyjeżdżała uniestwiona, zlane potem i czerwona jak pomidor, nadrabiając jednakowoż miną i udając, że profuzję okryć wzięła za dobrą monetę. Można sobie wyobrazić co za rolę w tych miłych rodzinnych stosunkach odgrywała małpa — postrach wieczysty i zhora piekielna.

IX. NAJWYTRZYMALSI

I byłaby zdaje się koniec położyła małpa nawet stosunkom rodzinnym najcieplejszym, przedziwszy poprzód zastępy gości sierosławskich — gdyby wogóle wszystko się nie skończyło i Sierosław i ja i Pusek.

Pewnego dnia trzeba było odwiedzić Puska do Ogrodu Zoologicznego do Poznania, na zawsze, i siebie też na zawsze, do dalekiej stolicy. Pusek był dla mnie po swojemu czuły i nigdy, nawet żartem, nie ugryzł ani nie podrapał, a nie czynił tego z respektu czy ze strachu — nikt nigdy mu nie imponował! — powodował się miłością, szorstką swoją, nieobliczalną miłością. Przyszedł jednak moment, kiedy mnie poważnie pokaleczył, aż do kości, głębokie rany czyniąc darte i żarte.

Właśnie w ów wspomniany dzień, kiedy go oddawałem Ogrodowi Zoologicznemu. Poczuł i rozumiał, że dzieje się coś niesamowitego i że cze-

mus kładzie się kres i cała jego awanturnicza, wybuchowa, gwałtowna, szalona duszyczka stanęła dęba. Tyle razy pakowałem go w domu do klatki, bez trudu i oporu — a tu ledwo zdjąłem obrozę i zacząłem wpychać do klatki w Zoologu, nagle obrócił się Pusek i z furją bezprzykładną, z desperacką zaciekłością, zaczął mi obżerać obie ręce. Żarł, darł i drapał, a kiedy ręce mu nareszcie wyrwałem, całe we krwi, i zatrzasnąłem zdumiony drzwi klatki, Pusek odwrócił się do mnie tyłem i siadł w najdalszym końcu. Ani wołania moje, ani orzechy go nie znęciły. Nie podszedł.

Miałem łzy w oczach, pewnie z bólu? nie wiem. wiem tylko, że w bardzo krótkim czasie, zawiadomiono mnie, że Pusek łagodnej zimy nie przetrzymał i skończył życie na gruźlicę — dziwna rzecz! ten Pusek, który bardzo srogie zimy przeżył w Sierosławiu na wolności, na podwórzu i w lesie, kulami śniegu psy obrzucając i ślizgając się na lodzie po sadzawce ogrodowej.

Czy niemają racji ci, którzy twierdzą, że najwytrzymalszym bydlęciem jest człowiek? bo ja przecie żyję.

ELEGANTY

Daroremu Olszanickiemu dwororovi

W JAKI SPOSÓB STAŁEM SIĘ PIANISTA

Za dobrych moich czasów, miałem dobre konie, nawet wielkiej klasy konie, folbluty i wysoką półkrew. Te prosta rzecz, ustanawiały pewne rekordy, ale kto wie, czy nie największą radością napelniały mnie wyczyny takich bydła, po których niewiele, względnie niczego się nie spodziewałem. Tak było z klaczką nieznanego pochodzenia LALKĄ — tak było z cudowną klaczą LA MARNE, tak było z jednym wałachem REGENTEM i tak było z parą jukierów węgierskich, zwanych ELEGANTAMI.

Eleganty przed samą wojną były znane w całej Wschodniej Małopolsce, od Sanu po Zbrucz. Przeszły one zemną chyba tysiące kilometrów i nie zaimponowałby im nawet rekord Posta. Poszłyby dookoła świata z taką samą fantazją, jak dookoła gazonu. Nie było dla nas przestrzeni niedopokonywania, a wyrażenie moje *dla nas*, nie tłumaczy się moją osobistą megalomanią, bo ja też w tym interesie czynną rolę odgrywałem — o czym przekona się każdy poniżej.

Bo — co tu dużo gadać! najgorsze z wszystkiego, było pokonywanie mnie samego przez Eleganta, diabła rodem, i walka moja z nim, pełna miłości, furji i popuchniętych rąk. Sokół, para do Eleganta, był wałachem spokojnym, dystygowanym, posłusznym, obowiązkowym, był końską perfekcją, ale w stosunku do swego towarzysza był zerem, był dodatkiem tylko do tego superatlety końskiego.

Elegant miał o 30 ctm. więcej miary gurtowej, niżli stojącej, co na język potoczny przetłumaczywszy, znaczy, że był fenomenalnie zbudowany, silny i szlachetny. Mieszkałem w powiecie Leskim w Łobozwi — akurat tam, gdzie djabeł dobranoc mówi. Chcąc ruszyć o krok od dworu, trzeba było z miejsca się pięć na Mount Everest — a kiedy nie daj Boże przyszła jeszcze jesień, pocziwa, polska jesień, lub jeszcze pocziwsza wiosna — cztery konie nie mogły wyciągnąć lekkiego wózka z grzęzawisk błotnych.

Elegant kpił sobie z ciężaru, ale że go upajała, względnie bawiła tylko przestrzeń (cóż dziwnego? był przecież jukierem węgierskim, synem węgierskich puszt!) więc szalał, miotał się, narowił pod tymi górami i pagórkami, a dopiero dotarłszy do szosy, dawał ze siebie to, co na tysiąc koni, on jeden dać mógł. Ale rzeki krwawego potu poływały z nas obu, z Eleganta i ze mnie, zanim doszedłem z nim do porozumienia.

Najpierw naiwnie zaaplikowałem mu mundstuk,

Elegant nie raczył okazać nawet zdziwienia, rzucił tylko kilka razy pyskiem, w ten sposób, aby sztangę złapać w zęby, a kiedy ją chwycił, dopiero zadawał mi bobu! Mścił się na mnie godzinę i dwie i trzy, rwąc jak szalony, wyszarpując mi ręce ze stawów. Cholera nie koń! Trzeba było zacząć z innej beczki. Po długich namysłach i naradach, dobrałem mu inne, mniej obrażające jego honor wędzidło — przestałem z nim walczyć, złożyłem godność furmańską, a stałem się pianistą.

Elegant uznawał, okazało się, tylko miękką, subtelną rękę i głos także wymodulowany jak flet. Słowem, nigdy Paderewski nie wygrywał tak miękkich tonów na swoich klawicymbałach, jak ja, na zwarjowanym pysku mego Eleganta — a że nie jeden ład odkryła w dziejach świata kobieta, więc i tu okrywczynią była pewna piękna i miła sąsiadka. Założyła się ze mną à discretion, że pojedzie Elegantami na przestrzeni Olszanica-Ustjanowa, czyli 7 klm. i że bestje będą ją słuchać jak anioły. Nie mogłem sobie wyobrazić Eleganta w postaci anioła, ale zato wyobrażałem sobie moją wygraną à discretion w tak plastycznych i różowych kolorach, że byłbym lejcę tym rączkom oddał nad pięciu, nad dziesięciu Elegantami!

W każdym razie gotowałem się na jazdę w rodzaju *Rutschbahn* — piekło nie jazdę! Orczyki i pasy zapewne nie odegrają najmniejszej roli — wszystko będzie taskane pyskami, w tempie wy-

ścigowem, szarpanem na dobitkę i rwanem jak zęb u wiejskiego dentysty. Zaciśnałem też mocno zęby, aby się nie rozsypały zbyt wcześnie, no i ruszyliśmy. Śliczna panienska nonszalancko trzymała lejce i, zupełnie bagatelizując kierowane smoki, rozpoczęła rozmowę ze mną. Nie z nimi. A Eleganty — piorun na nich!! — kołysały się wykwinutym truchcikiem, jakby nigdy innej jazdy nie znały. Teraz wściekłem się ja, bo zakład à discretion zaczął mi wyraźnie uciekać z przed nosa — a panienska klepie konie biczykiem pieszczotliwie i mówi, że chyba bluff i popisywanie się z mojej strony, bo para ciał nie szłaby spokojniej od Elegantów. Huknąłem na nie wtedy basowym głosem:

— Nuuuuooooo!

Elegant zastrzygł uszami i runął w przestrzeń, — wózek, nas i Sokoła taszcząc w piekielnym pysku. Przekonała się panienska, czy Elegant to pokorne ciele, ale psu na buty się to zdało, bo — zakład przegrałem. Korzystać jednak wyniosłem innego rodzaju, zrozumiałem, że Elegantom potrzeba tylko miękkiej ręki. I odtąd to stałem się pianistą.

MOJE TOURNÉE KONCERTOWE

Moje „tournée koncertowe“ z Elegantami było jednym nieprawdopodobnym sukcesem i rekor-

dem. Stały się one sławne — maszyny przedziwnej siły i wytrzymałości, ale zawsze tylko ja jeden dawałem sobie z nimi radę, bo o ile komuś przypadł w udziale los powożenia tymi lucyperami, długi czas rozkosz pamiętał. I tak np. dnia pewnego, mieliśmy się całą okolicą zjechać do sąsiada, p. Zientarskiego w Rabem, obok Ustrzyk Dolnych, na różne zawody hipiczne, jak Gymkhana, wyścig kłusaków, cross country itp. Musiałem jechać amerykańskimi kłusakami, więc Eleganty powierzyłem jednemu z najdłuższych ludzi w Polsce od czasów śp. Longinusa Podpięty, memu przyjacielowi, dziś pułkownikowi w czynnej służbie, Włodzimierzowi Dembińskiemu.

Nie wątpiłem w jego kunszt furmański, nie mniej pobłogosławiłem go w duchu i poleciłem mocom niebieskim, oraz, sicher ist sicher, staremu Jędrzejowi, który tylko jeden poza mną dawał sobie radę z Elegantami. W drodze, jadąc amerykańskimi, oglądałem się raz poraz. Widziałem w tłumach kurzu jakieś gesty, zgoła nie licujące z savoir vivrem furmańskim i jeszcze mniej zgodne z savoir vivrem salonowym, słyszałem okrzyki i przekleństwa. Bóg z nim, z Longinusem!!

Dotarliśmy do celu, wyskakuję i czekam na Dembińskiego. Zajeżdża po chwili przed taras i — siedzi. Elegant klaszcze sobie z niewinną miną ogonem po pośladkach, a Włodek siedzi. Klnie

niewersalskimi wyrażeniami, obrzuca mnie, konie i Jędrzeja obelgami, ale siedzi. Proponuję mu delikatnie, aby przerwał potok wymowy i zląził z wózka, a on dalej wymyśla nam od ciężkich choler i siedzi. Co u licha!?

Po dobrych 10 minutach okazało się, że on wogóle zejść z wózka nie może. Może kłać i najwyższe czynić mnie i Elegantom propozycje, ale złązić ani rusz. Bolały go wszystkie członki — ręce nogi, kark, a szczególnie krzyże, aż do najniższych i niewymawialnych kręgów włącznie. Popamiętał godziną jazdę długo!!! a respekt dla Elegantów wzmógł się jeszcze o stopień, bo przecież Włodek Dembiński to nie ułomek.

Czasem pogniwaliśmy się z Jędrzejem o Eleganty. Kiedyś naprzykład licho naniosło jakąś operetkę do Sanoka na cele dobroczynne. Cała okolica postanowiła tam zjechać. Mnie nie ciągnął ani Sanok, ani operetka, ani mea culpa, cel dobroczynny, ale znowu owa miła sąsiadka, która ujarzmiła Eleganty. Śniadanie jednak w Rabem, gdzie przypadkowo bawiłem, zakrapiane starym miodem, popsowało nietyle zegary, ile wyczucie czasu i niezłomność przekonań, iż pociąg na pasażerów nie czeka. Opamiętałem się zapóźno — pociąg odchodził za 20 minut. Z wiarą w Eleganty, przegnałem 8 kilom. do stacji w Ustrzykach, lecz pociąg właśnie ruszał. Nie zważając na nieartykułowane dźwięki, wydawane przez starego Jędrzeja, postanowiłem gonić

pociąg do następnej stacji, Ustjanowej. Byłem tak ochlapany błotem, że wyglądałem jak świeżo odkopana mumia egipska, tyle, że przez błotne szpary widziałem drogę i zadarte lby moich Elegantów, a w myśli miałem jedno słowo: *rampa!!!!* Obliczałem szybkość i kołowanie pociągu i doszedłem do wniosku, że o ile rampa kolejowa będzie jeszcze podniesiona, to sprawa dla mnie wygrana. Niestety fakty zadały kłam przysłowiu, iż Bóg opiekuje się warjatami, bo właśnie z monumentalną powagą, rampę opuścił dróżnik kolejowy.

Musiałem czekać minutę na przejście pociągu i znowu na stacji w Ustjanowej, tak jak w Ustrzykach było... *eine Minute zu spät*. Co robić? Pociągu żadnego innego niema, areoplany były wtedy mytem, samochody wywoływały jeszcze klękanie i żeganie się nabożne po wsiach małopolskich — co robić? A w Sanoku muszę być za każdą cenę. Spróbowałem więc szczęścia poraz trzeci jeszcze i ruszyłem znowu dalszych 7 klm. do Olszanicy w ślad za pociągiem. Konie szły świeże i w świetnych humorach, tylko humor Jędrzeja popsuł się zupełnie. Tego już za wiele! Błagał mnie, potem groził, potem podziękował za służbę, potem straszyl, że mnie p. Bóg skarze, że on stary Jędrzej wyskoczy z wózka, jeżeli nie zwolnię tempa. Myślałem: gadaj do lampy!

Całe życie irytowałem się na powolność pociągów — śmiałem się z szlachcica jednego starej da-

ty, p. Seweryna Korytki, który ile razy wsiadał do pociągu, szedł najpierw do tzw. *Zugsführera* i dawał mu 5 koron na piwo:

— *Abyś pom dzieju, na zakrętach wolno jechał...*

Mój Boże! jakżebym chętnie dał i sto koron temu umykającemu głąbowi, żeby na zakrętach zwalniał i wogóle zwalniał! Samowarek austriacki, bardziej do ślimaka podobny, niż do jakiegokolwiek środka lokomocji, wydawał mi się Orjent-expressem i istotnie znowu mi z przed nosa w Olszanicy uciekł. Teraz to był już koniec przedstawienia, jak mawiał mój przyjaciel Bzowski. Eleganty miały już za sobą 30 klm. szaleńczego tempa, a od Sanoka dzieliło nas jeszcze przeszło trzy mile. Niemożliwe. Barbarzyńcą nie jestem. Zrezygnowałem z operetki, z rozpaczą w sercu.

Nagle — aby mnie znowu do przysłowiowej opieki boskiej nad warjatami przekonać — zjawia się druga, świeża para moich koni. Odwoziła kogoś na stację przed godziną. Dotarłem więc na czas do Sanoka, kiedy wszyscy w moją obecność zwątpili — ale ja wiem, że gdybym był tylko cmoknął, Eleganty bez urazy byłyby ruszyły z Olszanicy i dognały do Sanoka, bez szkody dla siebie, na czas. W okresie mobilizacji, na górzystych, błotnistych terenach: Strutyn — Złoczów — Podhorce — Sewerynka — Brody — Ponikwa i spowrotem, zrobiły Eleganty wszakże jednym dniem 110 klm. niewypręgane, karmione tylko

wodą z cukrem, a na drodze powrotnej zaczęły taskać pyskami, jakby dopiero co ze stajni wyszły.

Po wyprzężeniu, Elegant szedł sam, nieprowadzony do swego boksu, obracał się łbem do furmana i czekał na zdjęcie uprząży, potem, jakby w niego piorun trzasł padał na słomę, i tarzał się parę minut, że cały boks trzeszczał. Po wytarzaniu się wstawał, otrząpywał się jak pies po kąpieli i spokojnie czekał na obrok. Apetyt miał „słoniowy“. Zjeść ćwierć cetnara owsa czystego na dobę, to było tyle u niego, co mnie kropnąć kieliszek wódki, stale zresztą konsumował 15 kilo. O ile w parze był niesubordynowany i nie biorący na siebie żadnej odpowiedzialności za całość kości pasażerskich, resorów i szprych — o tyle czwórkę i piątkę zwłaszcza prowadził jak spokojny, rozważny guwerner. Szedł na głos, współtowarzyszy uczył moresu i szybkości, niczego się nie bał, cały świat go nie obchodził — zawsze dumny, z wzniesionym łbem, klaszcząc po pośladkach ogonem, pełen humoru i fantazji.

Toteż najchętniej jeździłem piątką po niemożliwych sanockich wertepach. Pierwszy raz zebrawszy taki „ansambl“, zajechałem do Olszanicy do pp. Juścińskich. Śp. prezes Juściński stał na tarasie i krytycznym wzrokiem patrzył na mnogokonny zaprząg.

— Magnat, psiakrew! A nie mógł pan już więcej koni nadziierać do tego wózcza — ha?

— Mogłem, panie prezesie, odpowiadam z niezmałą powagą — ale że Elegant potrafi zjeść owsa za trzy konie, więc to tak, jakgdybym przyjechał siódemką.

NAGRODA NOBLA

Widząc sukcesy Elegantów na każdym polu niebywale, nie traciłem jednak równowagi i kiedy przyszedł czas wyścigów w Rymanowie, w czasie których miały się odbyć także wyścigi kłusowe, zabrałem ze sobą i Eleganty, ale wyłącznie jako konie zaprzęgowe do użytku, bez sulek i buggów, w zwyczajnym, dość ciężkim nawet tzw. Selbstkutschierfajetonie. Fiakrowały one od rana do nocy z Rymanowa-Zdrój do Rymanowa-Tor i Rymanowa-stacja, wszystkim znajomym i przyjaciółom moim, co wzniecało znowu nieporozumienia między mną a Jędrzejem, mimo że nie ja brałem napiwki, tylko on.

— A cóż to, żydowskie szkapy fiakerskie te Jeleganty, czy co!? Na co zeszło, panie Jezu takim koniom!!!

W dniu wyścigów kłusowych, Eleganty tak samo przewoziły i odwoziły moich znajomych kutschierfajetonem, obracając kilkakrotnie, w tempie zawsze rekorodwym. Do wyścigu zgłosili swe znakomite konie, p. Lesław Dydyński, obecny właściciel stajni na torze warszawskim: 2 feno-

menalne kłacze, pełnej krwi amerykańskie kłusaczki „Velociped“ i „Freilauf“, znane z trjumfów na torze wiedeńskim — śp. Mieczysław Dydyński: parę pełnej krwi amerykanek Teddy i Heddy, równie rozgłośnych, pozatem kilka innych znakomitości trottingu międzynarodowego. Wszystko oczywiście w wyścigowych lekkich buggach, na dętach kołach, wszystko w treningu wyścigowym i świetnej kondycji.

— A czego pan nie puszcza swoich Elegantów? — pyta mnie ktoś, z przesadną uprzejmością.

— Nie upadłem na głowę — odpowiadam. — Eleganty to jukiery, nadzwyczaj szybkie i wytrwale, ale przecież to nie amerykańskie folbluty, aby je próbować na 3000 metrów!

— Ta co jest!? — krzyczy Leś Dydyński. — Ta przypnij je do moich bugów z tyłu — może cię przyciągnę na drugiego.

Upadłem na głowę. Pobiegłem do sędziów i zgłosiłem w ostatniej chwili udział Elegantów w wyścigach. Wszyscy sądzili, zważywszy na piekielny upał, że słońce zaszkodziło mi lekko na mózg. Jędrzej szalał, płakał, kłął, błagał.

— Taże one dzisiaj kilkanaście kilometrów już zrobiły! w upał! w ciężkim wózku, te Jeleganty, a tamte warjaty, choroba na niech, idą w bugach, co tyle ważą całe, ile jedna latarnia przy naszym... Jeleganty żeby ze skóry wylazły, to muszą przyjść ostatnie i jeszcze się ochwaca!!!

Przepadło. Nie mogłem się już cofnąć. Przydzielono mi na sędziego pułk. Heinricha (obecnie pułkownik w rezerwie W. P.), a Jędrzej został na trybunach, złamany, patrząc przez łyżę na tę przez niego przewidywaną, sromotną klęskę.

Ostatecznie — cóż!? niechby tylko doszły do mety w przyzwoitym czasie, niebardzo się dając zdystansować tamtym folblutom, a już nasz trjumpf będzie wielki. Więc pełen skromnych, lecz dobrych nadziei, ruszyłem od startu.

W wyścigach kłusowych jest dopuszczalne zgalopowanie konia, ale ściśle określone w czasie i częstotliwości i obwarowane punktami karnymi. Mojem *for* było, że Eleganty raczejby zdechły, niż zgalopowały. Jedziemy. Wyrwam pierwszy, jakby mnie z katapulty wystrzelono. Eleganty zrozumiały niezwykłość chwili. Myrdnęły krótkimi ogonkami i zaczęły łupić kopytami jak kilofem. Grzmoty nie kopyta!

— *Nuuuuuooooo!!!* — przemawiam do nich, znany im, podniecającym ich do szału basem.

Co się dzieje!?! Ledwo nas dogania jakaś para, powtarzam moje denerwujące: *nuuuuooooo!* i zaraz słyszę za sobą rozpaczliwy głos:

— Hola, hola małuśkie... hola!!!

Widocznie bydlę jakieś wciąż komuś zgalopowuje i minąć dlatego nie może. Daj mu panie Boże zdrowie. Kto wie czy nie mój bas to sprawia? więc wołam znowu — nie wołam, ale ryczę:

— *Nuuuuuooooo!* i znowu słyszę za sobą desperackie:

— Hola!!! hola... i łup, łup, galopuje jakiś huragan, lecz nie mija nas nikt. Wreszcie słyszę stłumiony głos jadącego ze mną Heinricha:

— Już wszyscy odpadli, prócz Lesia Dydyńskiego...

Rznię na całego, nie oglądając się, ale ogląda się Heinrich.

— Znowu Dydyńskiemu klacze zgalopowały...

Nareszcie Heinrich:

— Uff... zwalniam, warjacie! Za nami niema już nikogo.

I — z szumem, z głuchym, miarowym, trjumuującym łoskotem kopyt, przyjeżdżam do mety pierwszy — ja, moimi skromnymi jukierami! o 50 metrów przed niezwyciężonemi dotąd, pełnej krwi amerykankami, chlubami trottingu, bez treningu!!!

Wziąłem pierwszą nagrodę. Tyle co Nobla. Zglupieli wszyscy i widzowie i sędziowie, nie wyłączając mnie samego, tylko stary Jędrzej objął szyję Eleganta i oświadczył z najgłębszą powagą i przekonaniem:

— Zawsze mówiłem, że niema lepszych od was i że tamte mogą was w d... pocałować.

KONIEC PRZEDSTAWIENIA

Byłyby mi służyły, świetne i niezastąpione do końca życia, lecz na całe nasze pokolenie ludzi i koni, na furmanów i pianistów, przyszła wojna. Wszystko djabli wzięli.

Miłą sąsiadkę dostaś ktoś inny — śliczną srebrną nagrodę za ów bajkowy wyścig rymanowski. Luchnął mi prusak — Rymanów też przestał istnieć — a Eleganty?

Pierwszy patrol rosyjski, który się pojawił na terenie Strutyna, zagarnął je. Poszły w nieznanym mi świat, lecz chyba gorzko i nieubłagane mściły na zdobywcach swoją poniewierkę i niejeden żołdat rozcierał ścierplę łapy i kłął śpiewno i soczyście:

— *Rizał waszu mat'...*

Tyle też mojej pociechy.

LEGIONOWA, PANA KOMENDANTA KASZTANKA

*Współtowarzyszom moim więziennym,
spod sądów doraźnych „ukraińskich”,
z lat 1918 — 1919
i z obozów internowanych austriackich,
1915 — 16 — 17 r.*

U pana Marszałka każda rzecz jest nazwana po imieniu. Kiedy pies, to się nazywa krótko PIES — kiedy klacz maści kasztanowatej, to KASZTANKA, a kiedy pożał się Boże fajdan, to FAJDAN.

Niema u Pana Marszałka Filusiów i Azorków — niema Maryś i Białonózek, tak jak nie było pp. Posłów za śp. dawnego Sejmu. Naturalnie że nie dla braku wyobraźni, tylko poprostu zapewne dla ścisłości, dla żołnierskiej, szczerzej rzetelności, pan Marszałek nie szukał „słówek“ w dykcjonarzu, czy jak chcieli niektórzy dowcipnisie... u Boya.

Swoich własnych słówek za to nikomu nie szczędzi, koń nie koń, pies nie pies, poseł nie poseł, stosując je zwyczajnie, wyraźnie, dobitnie, niedwuznacznie, akuratnie, aby każdy wiedział, co o nim myśli i jak się wedle pana Marszałka zwie. Kasztankę, wiernego konia swego, nazwał KASZTANKA i tak przeszła do historii.

Elegantka była. Pysio białym pudrem mocno przypudrowane i długie białe rękawiczki i poń-

czoszki na kończynach strzelistych i pewnych. Zresztą cała złotowłosa. Urodziła się w Czaplach Małych, a potem przeszła do Czapli Wielkich, ponoś na p. Popielowe łąki, na tłusty, ciężki owies, na chleb w soli tego maczany i cukier w kostki. Nie żałowano jej! Konie były tam kochane, pieszczone, panieńskie rączki je głaskały — delikatni i sprawni jeźdźcy ujeżdżali. Mocna była, muskularna, wytrzymała i łagodna, choć nie najwyższej klasy.

Kończyła właśnie rok piąty — sierpień się zaczął, pamiętny sierpień 1914 roku. Pola były tak złote, że jej, kasztanki o złotej maści, prawie nie widać była na zżętym łanie. Trochę się dziwowała co jest, że niema o tej porze kawalkad, niema polowań z chartami, że ludzie jacyś zafrasowani, markotni, wystraszeni. I nagle wyruszyła kawalkada konna i ona — (nareszcie!) jedenaście wiorst do Miechowa. Był to wczesny sierpniowy dzień. Coś nieprawdopodobnego się działo na drogach i szosach. Ludzie, wozy, bydło — tu i owdzie pojedyncze strzały, a w Miechowie pełno obcych — jakieś szare mundury dość nędzne, jakiś ruch i — wesołość. Klaczka odczuła, że wróciła radość, że tu przynajmniej ludzie nie są markotni i zestrachani. Chwała Bogu — wesołość.

Zarżała więc sobie i innym na kuraż i wtedy marsowe czyjeś oczy na nią spojrzały przelotem, poraz pierwszy. Potem coś ludzie mówili, coś rozpowiadali — wreszcie poczuła klaczka że ją prze-

siodlują, i że ją młode jakieś, miłe, obce, a niby bardzo swoje ręce biorą przy pysku za cugle. I znowu dojrzała patrzące na nią spod gęstych brwi marsowe oczy. (Konie doskonale odczuwają spojrzenie ludzkie, ich wagę, lub znaczenie). Tymczasem ktoś rzekł:

— Podajcie mi, obywatelu, kasztankę...

Odtąd więc nazywała się KASZTANKA. Odtąd była Jego koniem, marsowych oczu własnością. Różnęła do Kielc — wkraczała dumnie do N. Sącza, była pod Łowczówkiem, nad Nidą, pod Konarami, Jastkowem. Na wołyńskich, uciążliwych drogach naderwała sobie ścięgno i zaczęła utykać, lecz przeszła wszystkie Kostiuchnowki, Polskie Góry, Kamieniuchy. Od czasu do czasu, ręka łagodna i zarazem silna klepała ją w kłusie po szyi — czasem marsowe oczy były tak zamyśłone, że ona wybierała drogę, ona kopytami próbowała dogodnych przejść i wytrzymałości mostów, ona w nocy czarne wypatrywała odpowiedni szlak, bo przecież wciąż i zawsze byli na przedzie.

Słuchowo znała wszystkie pułki — rozeznawała zdaleka głuchy łoskot maszerującej piechoty — druzgoczący stuk artylerji — lekki galop konnicy — obojętna była na strzały pojedyncze i na działa — cóż!? jeżeli się marsowe oczy nie boją, to dla czegożby ona miała się bać? Jego rzecz nie jej. Tylko zmyślnie strzygła uszami, aby dać znać marsowym oczom, że nie jest tępą kłodą, że rozumie, ale jest spokojna, bo im ufa. („Kasztankę“ zarekwirował dla Legionów p. Z. Protassewicz).

Czasem bywało głodno, czasem siekał wiatr, ze śniegiem i deszczem pomieszany, czasem tchu już niestawało płucom ze zmęczenia — żrenice KASZTANKI stawały się melancholijne, ale szła dalej, równo i spokojnie: jak sztama to sztama. Wszakże wszyscy wokół niej są głodni, zmordowani i zziębnięci. Jak sztama to sztama. Z niemi przejdzie etapy ich dążeń, ich klęsk, zwycięstw i postojów. Legionowa, pana Komendanta KASZTANKA.

Miał swego dropiastego Czarnecki, miał swego białego Napoleon, miał swego bułanka ks. Józef Poniatowski — ona, KASZTANKA, jest Jego.

I tak jak obszył, trzynaście lat mu służyła, wierne, służbisto, chętnie i chępliwie. Kiedy wzdłuż Polski smagał Go wichur, smagał i ją — kiedy grzechy narodu odosobniły Go w Sulejówku, na długo, na zanadto długo — KASZTANKA namawiała na krótkie spacery — a kiedy przyszły godziny chwały, KASZTANKA dumnie pod Nim patrzyła na defilujące wojsko. Przyszedł rok 1927 i wielkie listopadowe rewje na Placu Saskim. Stała wtedy KASZTANKA w stajniach 7 p. Ułanów w Mińsku Mazowieckim i tak brzmiał ostatni o niej raport — dodatek do rozkazu dziennego pułkowego, nr. 251:

— *Mińsk Mazowiecki, 25.11.1927 r.*

Dnia 3 listopada 1927 r. klacz KASZTANKA, rołasność Marszałka Piłsudskiego, została wysłana do Warszawy na defiladę, z okazji obchodu 9-ciolecia Niepodległości Polski, w dniu 11 listopada.

Wysłanie nastąpiło na zarządzenie gabinetu wojaskowego Ministra Spraw Wojskowych. KASZTANKA była klaczą mierzchową, używaną pod siodłem przez Marszałka Piłsudskiego od r. 1914. KASZTANKA brała udział 11.11 w defiladzie, będąc poraz ostatni dosiadana przez Marszałka Piłsudskiego.

W dniu 21.11. 1927 została odesłana do Mińska Mazowieckiego, transportem kolejowym, gdzie w drodze zachorowała. Przywieziona na dworzec miejscowy, pomimo udzielonych zabiegów lekarskich, przez lekarza weteryn. 7 p. Ułanów, por. W. Koppe, nie zdołała się już podnieść. Została przewieziona do koszar. Wobec pogarszania się stanu zdrowia, została zamierzona pomoc lekarska z Warszawy i, w nocy z dnia 21 na 22.11. przybyli ppłk. lekarz wet. Konrad Millak i ppłk. lek. wet. Wład. Kulczycki. Lekarze ci nadal czynili energiczne zabiegi lekarskie — nie zdołali polepszyć stanu zdrowia i o godz. 10-ej tegoż dnia, wydali następujące orzeczenie:

— *Poważny uraz wewnętrzny... silne zaburzenie naczyń krwionośnych i serca.*

KASZTANKA padła dnia 23.11. o godzinie 5-ej. Podobno w wagonie, KASZTANKA chciała przedostać się na drugą stronę przegrody — uderzyła kregosłupem z całej siły o drąg i to było powodem jej śmierci. Wedle kalendarzowych dni panna Marszałka, 13-ka i tu odegrała rolę. Również trzynaście lat Mu służyła. Kochały ją i pieściły

córki pana Marszałka — dzieci Kasztanki bywały „z wizytą” w Sulejówku, witane cukrem i pieszczotami.

Coprawda niezbyt się udały te dzieci KASZTANCE. Jest klaczka MERA, jest ogierek NIEMEN — takie sobie. Trudno. Nie każdemu psu Łysek, nie każde stworzenie dziedziczy po rodzicach piękno, siłę i... szczęście. Szczęścia mają dzieci KASZTANKI poddostatkiem, bo wojsko polskie o nich nie zapomina, tylko już nosić pana Marszałka nie będą, jak tamta, po całej Polsce, w godzinach trudu, w godzinach samotności i w godzinach chwały. I w literaturze, poezji, piosence, szopce i karykaturze nie będą figurowały.

Bodaj że pierwsza piosenka polskiego żołnierza była ta, z imieniem KASZTANKI związana:

*Jedzie jedzie na Kasztance —
siny strzelca strój —
Hej, hej, Komendancie,
miły Wodzu mój...*

(K. Biernacki)

I ta inna (Bol. Lubicza):

*Jedźże, jedź! Koń Twój stapa po darni —
liście dębu Ci damy do wianka —
w zorzę złotą, po dniach męczarni,
wowiedzie Ciebie i huf Twój Kasztanka.*

Bodaj że pierwsze kukielki w Polsce Odrodzonej, były z nią:

*...a gdy mnie dosiadł,
muzyka grała i śliczna parada Saskim placem
szła —*

*A Wanda z Jagódką,
z okna wesolutko
na mnie patrzała, tratata...*

*Siadał na mnie Dziadek za wojennych lat,
dziś ma cięższy wsiadek — mocno na mnie
wsiadł.*

*Czuje to siedzenie całe Zgromadzenie,
polityczny świat, tratata...
Żyję sobie fajnie, honorowy człek,
o świcie do stajni, przylatuje Beck —
Rano kawa z pianką, a na obiad sianko
i wieprzowy stek, tratata...*

*Codzień w stajni tłumnie tłoczą się u bram,
już dwa razy u mnie był pan Stroński sam:
— Szanowanie klaczy, pani mi wybaczy,
ale prośbę mam tratata...
Niech Mu szepnie pani, gdyby znorow rolał,
kiedy siedzi na niej, czemu dusi nas?
To się już nie godzi, z konia przecież schodzi,
a nie złazi z nas, tratata...*

Złośliwość matolcza też ją kąsała, bo tak się już splotło, że KASZTANKA była jednym z wielu

motywów politycznych — głupota rodaków po-
niektórych wszakże, jest nieprzebraną w środ-
kach i pomysłach, a wiadomo, że kiedy ktoś to-
nie, to się i końskiego ogona ima. Imali się więc
i ogona pocziwej, wiernej KASZTANKI, która-
by ich ździeliła kopytem jak się patrzy, gdyby...
gdyby wogóle wiedziała o ich egzystencji. A niech
tam.

W nr. 323 *Głosu Prarody* znajdujemy pod
wzmianką o jej śmierci, takie proste i wzruszone
słowa:

— *Przyoblekła cię piosenka żołnierska w czap-
rak poezji i z nią pamięć o pracowitem życiu
tym w sercach żołnierskich zostanie, o wiernym
koniu Wielkiego Wodza opowieść parodująca
snując...*

Cóż dowcipy, dowcipuszki i kłamstwa, wobec
tej opowieści — ?!

GORYCZE WIEDZY, CZYLI PIES ZDRAJCA

Niedawno otrzymałem od jednego z moich małoletnich siostrzeńców list tej treści:

— *Kochany Wójcio! Dostałem skarbonkę od kochanej bapci ktura jest taka świnią, co jej się mklada pieniondze w szparkę, żeby oszczędzać czego i kochanemu Wójciowi życzę z prośbą o zrobienie poczontku. Kochający siostrzeniec Misiek.*

Nieomal identyczne listy pisywaliśmy przed wieloma laty, do rodzin naszych w kraju, my, dorosłe dryblasy, wiedzą się nasycający w Królewskiej Akademji Rolniczej w Freising (Weihenstephan) pod Monachjum. Składnia gramatyczna była w naszych epigramach coprawda lepsza, ortografja mniejwięcej też, ale rozrzucająca treść niewiele się różniła od finału z listu małego Misia.

— Papciu drogi! dawaj pieniądze, bo chesne podnieśli. Babciu ukochana! przyślij paręset mareczek, bo mieszkania nagle podrożały w Freising. Rodzice kochani! musicie podnieść apana-

że miesięczne, bo jako Polacy, musimy tu fason między szwabami trzymać itp itp...

Trzymaliśmy też fason i hulali pod nos szwabom, nie dając się wyprzedzić, ani w zabawie; ani w sporcie, ani w awanturach na tle mieszkaniowym, honorowym tudzież sercowym, ani, co się bardziej chwali, w nauce. Byliśmy wszędzie pierwsi. Polaków było tu dużo na studjach, ale moja paczka składała się z 13 obiecujących młodzieńców, plus jeden małoobiecujący pies, półjamnik, imieniem Kajtuś. Mieszkaliśmy rozsypani po całym mieście, ale miasto było nieduże. Freising liczyło podówczas jakich 12.000 mieszkańców, w czym napewno 11.999 księży i zakonników.

Co krok, to figura święta, katedra, kościół, kaplica, albo klasztor. Nawet nasza Akademia Rolnicza mieściła się w byłym klasztorze Benedyktynów. Nawet taka małoortodoksyjna trójka ja ja, Roman Smoleński i Jerzy Grodzicki, znalazła schron w ultraortodoksyjnej kamienicy, zwanej „*Katolisches Casino Haus*“. Jedno z naszych okien, żaluzją zasłonięte, dawało widok na konferencyjną salę, w której odbywały się teologiczne zjazdy — inne wychodziły na piękny ogród, który był oazą wypoczynkową jakichś zakonnych siostrzyczek.

O ile się nie mylę, sieliśmy pewien niepokój wśród spacerujących mniszek. Starsze przeorysze odwracały się gniewnie od naszych okien, młodsze zaś spuszczały oczy i wsadzały nos w niesione

brewiarze. Noski były wcale foremne, co poznać można było nawet z wysokości I-go piętra — natomiast nasze I piętro, niezbyt foremnie musiało się przedstawiać mniszczkom. Buchały z okien, nieprzerwane nasze studenckie śpiewy i kłótnie, oraz gęste kłęby tytoniowego dymu, jak z kraty Wezuwjusza. Zakonnice sądziły czasami, że u nas pożar, a czasami przekonane były, że dokonuje się w naszych pokojach jakieś szczególnie wyrafinowane morderstwo, z akompaniamentem nieludzkich wrzasków, jęków, szczekania psa i żałobnych śpiewów. Uleciała więc ku niebu niejedna daremna modlitwa o zbawienie duszy świeżo zamordowanej przez nas ofiary, o łaskę dla nas morderców, względnie (z uwagi na kłęby dymu), akt strzelisty do św. Florjana, patrona od ognia.

KAJTUŚ

Mieszkaliśmy pod opieką zacnej Bawarki, której zresztą dzięki nam przybyło conajmniej 50 lat. Reszta z naszej paczki, jak rzekłem, rozsypana była wzdłuż miasta Freising, po wszystkich piętrach. Na nas wszystkich był ten jeden „zbiorowy“ pies, o którym wspomniałem, imieniem *Kajtuś*, niechłubiący się zbyt wysokim pochodzeniem. — Co tu dużo gadać, kundys był i koniec. Postanowiliśmy dla równomier-

nego skaptowania psa, aby codzień inny z naszej gromady brał go do siebie, żywił, na spacer wodził etc. Kajtuś szedł potulnie za tym, na którego padał kolej, lecz nie wyróżniał żadnego z nas i wyglądał stale obrażony, chmurny i osowiały. Nigdyśmy nie widzieli, aby ogonem pokręcił, aby się uśmiechnął oczami, aby podskoczył witając, lub liznął którego z nas po łapach. Kruzenstiern ostrzegął:

— Zobaczycie, że pies kręcka dostanie. Pies nie może niewiedzieć, do kogo należy i z kim ma przyjemność. Pies nie może mieć kilku panów naraz i kilka naraz domów. Klepki mu się pomieszają i zdechnie.

— Tobie się dawno pomieszały, a żyjesz! — uspakajaliśmy Kruzenstierna, lecz gnębiła nas mocno obojętność kundla, choć aniśmy przypuszczali, co wpłynie kiedyś na jego psychikę i w jakich dramatycznych okolicznościach. Kłóciliśmy się często o Kajtusia, zresztą o byle co — nawewnątrz jednak solidarność nasza była wzorowa. Jeżeli wypadła awantura, lub pojedynek, murem stawaliśmy jeden za drugiego, sekundowali sobie, świadczyli w sądzie — jeżeli jakiś szwab. palnął coś na Polskę (a wówczas inne były czasy i nierzadko się to zdarzało!), czarna była jego godzi na od naszego wycisku. A przygód było wiele. Przygód natury publicznej i intymnej. Robiliśmy nader skuteczne studia nad psychologią ludzi wo-

góle, a pijaków w szczególności. Naprzykład uderzyło nas niejednokrotnie korzystne działanie alkoholu na zmysł sprawiedliwości. Razu pewnego bracia Narkiewicz Jodko, mieszkający obok naszego Kasyna, w dwóch oddzielnych pokojach, mający słabe głowy, upili się, jak się to mówi u nas na Powiślu „*o drobną kaszkę*” i wracali do domu linją w ząbki. Wyprzedziliśmy ich śpiesznie i pozamieniali im pokoje. To jest, ten, który miał łóżko, dostał tapczan i naodwrot, ten co miał komodę, dostał szafę, a ten który miał leżaka, dostał parawan. Kiedy weszli, każdy do swego pokoju, stanęli jak wryci, o ile można nazwać „*wrytym*” człowieka, chwiejącego się jak brzoźka, targana orkanem.

— Edzio, pijaku! pociś wlaż do mego pokoju?

— Jaki do twego?! Przecież toś ty wlaż do mego. Nigdy nie miałeś, moczymordo, tapczana...

Ledwośmy braci rozbroili o trzeciej nad ranem, ale nazajutrz nękała nas ciekawość, jak też problem mieszkaniowy został w tych pijackich mózgach rozwiązany. I tu właśnie przekonaliśmy się o rewelacyjnym działaniu alkoholu na poczucie dystrybutywnej sprawiedliwości. Zastaliśmy oto obu Jodków... na podłodze, na kurytarzu, pogrążonych w głębokim i niewinnym śnie u progu swoich nierozsądzonych pokojów. Czyż można było lepiej zawikłaną sprawę rozwiązać — ?

Ideały sercowe mieliśmy gęsto poustawiane na wszystkich piętach miasteczka — 13 ideałów jak obszył, nielicząc odchyień. Bowiem, zważywszy na to, że wszystkie Greta były dość podobne do siebie, pulchniutkie i lnianowłose, wzdychaliśmy czasem po dwóch i trzech do jednej i tej samej, co nie wykluczało indywidualnych uczuć. I właśnie takim uniwersalnym powodzeniem cieszyła się rudowłosa Greta, córka piekarza, którego zwaliśmy *Silnym*, bowiem przedstawiał się jak atleta ciężkiej wagi. Mieszkało to panieństwo na I pięterku, na *Sankt Korbinianstrasse*, a okno jej z powiewnemi firankami wychodziło na wdzięczny skwerek, żelazną sztachetą otoczony, na którym wznosiła się jakaś figura. Nigdy oczywiście nie przyglądaliśmy się figurze, tylko samej panience i to nas miało zgubić.

W wyznaniach, uskuteczniionych z trotuaru na pięterko, dowiedzieliśmy się o zamięłowaniu panienki do muzyki — toteż dnia pewnego, o romantycznym mroku, przyszlismy jej zagrać pod oknem serenadę. Roman Smoleński owinał się w pikowaną kołdrę czerwoną, na głowę wsadził sobie ogromną umbrę z zielonego jedwabiu i z gitarą w ręku, udawał hiszpańskiego hidalga. My obok, wtórowaliśmy jego pieśni, zdolnej z kamienia lży wycisnąć. Panienka otworzyła leciutko okno i przysłuchiwała się z uśmiechem, wzbudza-

jąc w nas zachwyt. Gdyby to było dziś, przypomniabym sobie słowa gen. Wieniawy-Długoszowskiego, który z najgłębszem przekonaniem oświadczył raz „*że dla flaszki tokaju, dla ciastka z kremem i rudej dziewczyny bez piegów, każde słoństwo można zrobić...*”.

Myśmy zrobili gorzej. Roman, chcąc się znaleźć bliżej ideału, wlażł na sztachety, okalające pomnik, a wkońcu, ponieważ i to było mu jeszcze zbyt wielkim od ukochanej dystansem (czy było się kiedy dostatecznie blisko ukochanej?), więc wgramolił się na sam pomnik, coraz wdzięczniej fałszując na gitarze, przy akompaniamencie nasyższych barytonów. W chwili najwyższego uczuciowego napięcia, przerywanego naszczekiwaniem Kajtusia, w dyskretniej wymianie znaków z panną Gretą, Staś Kościszewski zakrzyknął:

— Uwaga! „*Silny*“ idzie.

Istotnie szedł „*silny*“ od bocznej ulicy ku domowi, aż ziemia dudniała. Panienka zatrzęsła okne, a myśmy dali susa przez sztachety, tylko ja się zaplątałem, chcąc pomóc Romanowi, siedzącemu pod niebem na cokole. Przy zeskakowaniu zostawił niezdara na szczycie pomnika swoją umbrę i pikowaną kołdrę, ja zaś zgubiłem elegancką pelerynę mojej gospodyni, turkusowego koloru w paski. Po tych to rekwizytach, wpadła policja z łatwością na nasz ślad. A zresztą, żeby i żadnych rekwizytów nie było, i tak byliby nas podejrzewali.

— Czy to panowie pozostawili te obiekty na *Sankt Korbinianstrasse*?

— My.

Twarze władzy stały się ponure.

— Czy panowie wiedzą o co są oskarżeni?

— Oskarżeni? Mamy nadzieję, że nie o mord seksualny.

— Proszę nie robić żartów. Chodzi o świętokradztwo. Panowie znieważyli figurę św. Korbiniana, patrona miasta Freising, wsadzając mu na głowę zieloną umbrellę od lampy i pikowaną kołdrę. Czy panowie rozmyślnie...

— Panie szanowny! My przecież, jak panu wiadomo, na rolnictwo uczęszczamy, a nie na teologję. Skąd mieliśmy wiedzieć, że to św. Korbinian? Figura jak figura.

— Przecież jest na niej napis, a zresztą pociąg leżli na nią w nocy i przyodziewali w niestosowne szaty świętego biskupa?

Spojrzelśmy po sobie bezradnie. Nie mogliśmy narazić na szwank opinji Romanowego dziewczęcia — zresztą w razie czego, wiedzieliśmy, jakiego jej łożu sprawił papa-atleta, więc bohaterstwo zawiesiliśmy głowy, próbując wykrętów. Tłumaczyliśmy władzy, że *Herr von Kościszewski* wyznaje religję mahometańską i że musi w czasie pełni księżyca śpiewać hymny Allahowi, na możliwie największej wysokości, że musi mieć wtedy turban jedwabny na głowie, stąd umbra, że jako syn ognistej pustyni, marznie, stąd pikowana

cję. Pies był goniony przez tyle miesięcy z jednego naszego mieszkania do drugiego — pies nie wiedział do kogo należy. Kochał nas może po swojemu, ale miłością wyrodną, przeciwną naturze poprostu, bo rozparcelowaną, trudną dla niego do zniesienia. I nagle, pewnego razu, poczuł na *jednym osobniku* krew nas wszystkich, niejako zesumowaną. Rzeźnik zapachniał mu jednocześnie i Michałem i Jurkiem i mną, no i pies znalazł się nareszcie w domu, w uproszczonej, zdrowszej sytuacji. Patrz jaki kontent i jak spogląda rozanielony na swego rzeźnika!

— Pies mu mordę lizał!... — wybuchaliśmy solidarnem oburzeniem, ale Janek upierał się przytem i dowodził uczenie, że właśnie przyłgnąwszy do rzeźnika, naszą posoką zbryzganego, pies dał wyraz swej zbiorowej, beznadziejnej, zawikłanej do nas miłości.



88455